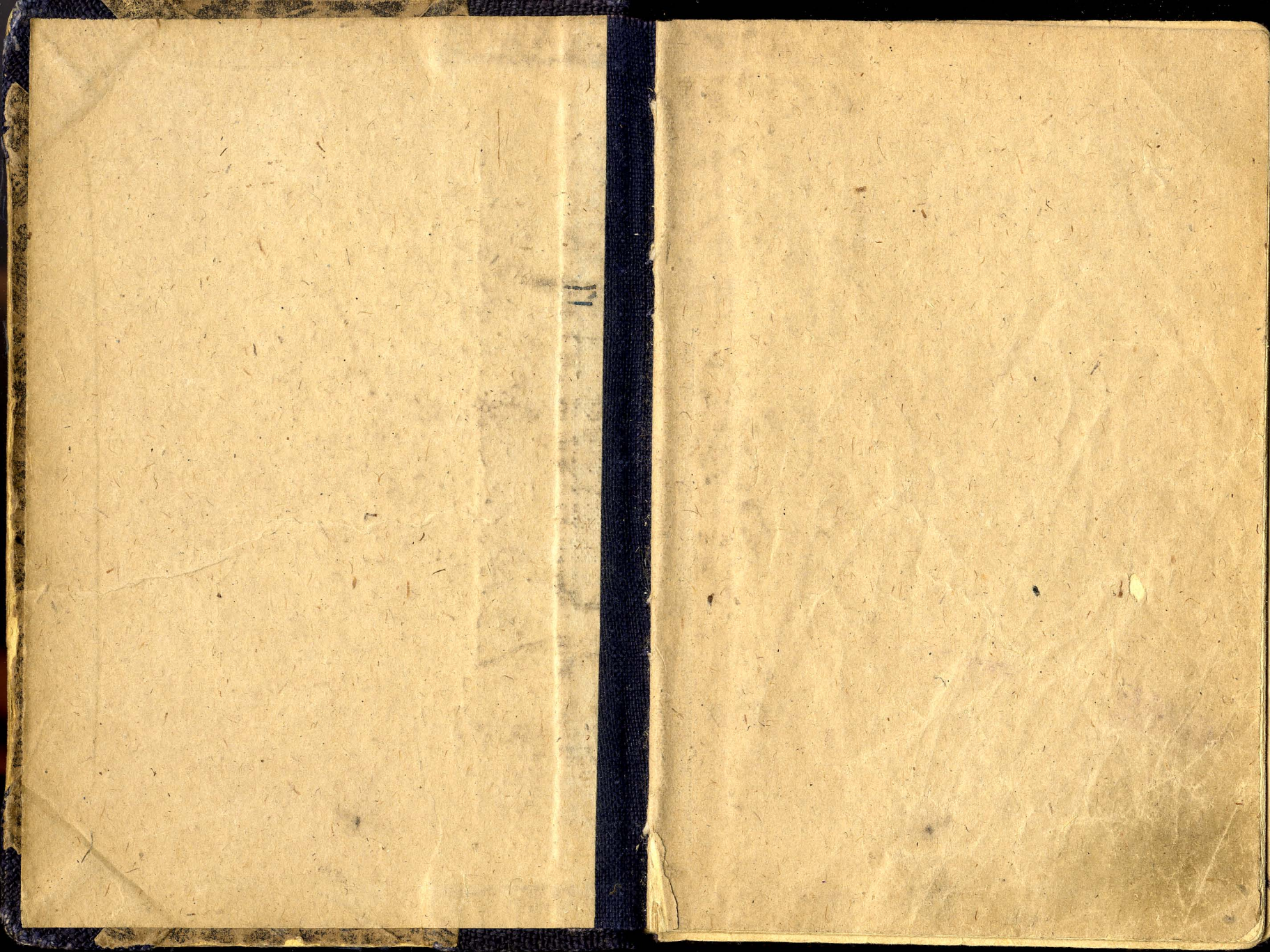






Ch. Oakeshott

W I D M A.

✓
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Eliza Orzeszkowa.



WIDMA

POWIEŚĆ

CZYTAŁKA

z przedmową

Stanisława Krzezińskiego.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.



KOMPUTER

884-3

821.462.1-311.2



71

PRZEDMOWA.

I.

Wiele rzetelnego przeczucia było w tem natchnieniu, które przed 27 laty wydało z siebie *Widma*. To, o ^{czego} co się Orzeszkowa w trwodze miłosnej lękała, przyszło. Sielanka nowego Pawła i Wirginii z Wilna rozpostarła się na wielki obszar ziemi naszej. Ale ta rzeczywistość, która nas wszystkich ogarnęła, nie zabawia się już w dziecinne rojenia: ryczy jak potwór, przeraża i odrętwia, zmiata i niszczy, posadami bytu wstrząsa.

Sen o wiekuistym szczęściu człowieka, marzenie o niezachmurzonej pogodzie społecznej—uzbroiły się w żelazo ogniste i bombę i tą bronią walczą o jaśniejące wszechdobrem jutro ludzkiego ducha. Rewolwer, sztylet, topór powyrastały na samodzielne potęgi i władają losami i żywotami ludzkimi.

Niemilosierdzie okrutne przejmując na wskroś złotą sielankę Julka i Lusi. Idą tłumy w przyszłość

pod hasłem bratobójstwa; krwią zapływają oczy, we krwi broczą dłonie, krew obryzguje twarze; z przekrwionych mózgów wychodzą upiory, świeżej wciąż krwi żądne. Urzeczywistniając sen miłości wszechludzkiej, człowiek stał się dla człowieka hyeną: zbezczeszcza groby, znęca się nad trupami, śmierć nawet samą zaprawia srogością, hyenom nieznana. Życie ludzkie utraciło już wszelką cenę — złamanej szpilki szekspirowskiej nie warto. Aby dziś człowieka zabić — z chciwości lub zemsty, dość tylko sięgnąć po narzędzie zabójcze. Rozhulała się siełarka i w wir swój wciągnęła wszystkie męty społeczne.

A tych mętów jest może tyle, ile jasnego przeczeka: toć pracowały na nie długie lata ciemnoty. Gdy społeczeństwo trzymane w stanie anorganicznym, uniemożliwiającym życie i zaledwie zapewniającym trwanie, musiały te męty najpierwsze od wstrząśnienia się poruszyć — i wydobyć nawierzeh. Z nich też głównie skorzystał bojowy socjalizm.

Nie takich walk i czynów pragnęli przewodcy tłumów, prowadzonych w przyszłość po sytość, sprawiedliwość i wolność.

Szturmując do nieba, nie myśleli wytwarzać piekła i samym sobie i tej ziemi, która ich z siebie wydała. Dla nich te gminoruchy krwawe miały być wspaniałą pracą nad przebudową świata i — w ścisłym z nią związku — pokuszeniem się o postęp polityczny państwa, w którym żyć musieli. Inną miała być armia wiekuistego szczęścia, innymi place boju, innemi zwycięstwa. Ale fizyczne narzędzie, twórcza metoda pracy i walki miały być odrazu te-

mi samemi, jakich dziś używa dziec do gwałtów, rozbojów i mordów: i tu właśnie tkwi przekleństwo ruchu.

Walka na dwa fronty: z potężnem państwem i z potężniejszym jeszcze od niego ustrojem dzisiejszych społeczeństw ludzkich — z samą naturą czynną w dziejach — od taktyki krwiożercej znikczemniała. Rewolucya polityczna zamieniła się w pompowanie rewolucyjnego powietrza; rewolucya socyalna — w jedno prawie nieprzerwane pasmo przestępstw i bezładu. Z chwilą, gdy pacholące nauczycielstwo, a częściej jeszcze oślepiająca pycha, sięgnąwszy po cel niedościgły, spotkały się z fatalizmem niemocy, nożowa metoda walki musiała i skalę czynów i dobór czynników potępieńczo obniżyć. Pod zawołaniem braterstwa przy takiej metodzie można było zorganizować tylko horde, nie lud. Zaraźliwe hasło grabieży i mordu, wydane dla celów rewolucyjnych, padając w masy ciemne i cheiwe, rozbudziło w nich instynkty zwierzęce. Raz wywołany prąd zgasił ideę; krew bratobójcza zalała teoretyczne ognisko miłości człowieka dla człowieka. Rewolucya zamieniła się w rozbój i coraz ohydniej się zwyrodniała.

Czarowny motyl wiekuistej szczęśliwości, za którym pognały tłumy, nie o przebudowaniu świata, ale o jaknajlepszym nasyceniu się marzące — uleciał w nieskończoność wieków, która sama jedna tylko zdola podjęte zagadnienie rozwiązać.

A na tej smutnej, biednej, ciemnej, tylu już strumieniami krwi i łez przepojonej ziemi po całej tej kampanii Czerwonego Sztandaru pozostanie — zniszczenie, większy niż przedtem niedostatek, mniej

pracy, mniej jej owoców, bo i mniej ruchu, rzeczywistego wytwórcy bogactw społecznych.

Nikt jeszcze dotąd nie wymyślił lepszej metody samobójstwa, prostszej drogi do niemocy i zgłady. Socjalizm, czyniąc sobie z kraju naszego pole doświadczalne, wiedział co czyni: żadne inne społeczeństwo w ludzkości całej nie było tak, jak nasze podatnem, bo żadne inne nie było tak, jak nasze ciemnem i słabem.

I oto stoimy nad przepaścią: jedność narodu rozbita, społeczeństwo wstrząśnięte, wzburzone, legenda naszego rozwoju przemysłowego rozwiana; ten sam robotnik, który miał być zbawionym na początek przez wyższe zarobki, może nie znaleźć już i najniższego. Widmo głodu wyszczerza zęby—a Boga, któryby je odpędził niema. Lada chwila przeznaczenie strąci nas w przepaść, jeżeli to samobójstwo okrutne nie ustanie. Z położenia, które nam zgotowała jedna przemoc, nie wydobędzie nas druga. Rewolucya wraz z nieodstępnym rozwojem przejdzie w stan endemiczny i warunki bytu ogólnego coraz bardziej zaostrzać nam będzie.

Takim jest bilans naszych gminoruchów socjalistycznych. Jeżeli o wartości społeczeństwa roztrzyga stopień poszanowania praw jednostki ludzkiej i samego jej istnienia; jeżeli je nad poziom hordy pierwotnej wynosi jedynie tylko suma jego codziennej pracy duchowej, fizycznej, materyjalnej, umysłowej i moralnej, potęgująca jego własną istotę; jeżeli miarę siły społeczeństwa daje zwartość jego atomów—jakaś organiczna kohezja stanów, zawodów, grup i jednostek, której żadne przeciwieństwa i walki nie

rozerwą — to nie było jeszcze w dziejach świata społeczeństwa tak bezsilnego, nędznego jak nasze w chwili obecnej. I tu owe trwogi Orzeszkowej, które dały natchnienie do *Widm*, pałają najżywiej, sprawdzają się najokrutniej.

II

Ten ruch nieszczęsny porwał nam dziecko jako typ czystego, naiwnego istnienia. Dziś dzieci bywają współnikami band rozbójniczych; dziś dzieci jednych towarzyszków swoich wieszają, innych biorąc w obronę, dla solidarnego pomśzczenia mniemanej krzywdy, katuja ich rodziców. Dawne dziecięce uciechy znikają. Za najcięższych czasów Hurki chłopiec w ogrodzie Saskim zabawiał się ukradkiem w sztyftowanie wojska polskiego; dziś w parku Ujazdowskim najmiłszym mu jest „Łapacz”, odtwarzający sceny policyjne. Dzieci robotników na podwórzach domów wydrwiwają inne, przyodziane w strój uchodzący za narodowy. Trzynastoletnie podrostki w Nałęczowie wykrzykują na Macierz Szkolną polską „maciora”! Jedenastoletni odzimek w szkółce przygodnej zawodzi piosnkę dziecięcą, w której jedna zwrotka kończy się słowy: „Będziem narodowców rznąć”! Ojciec robotnik zabrania terminatorowi bratać się z majstrem—wyzyskiwaczem, nie pozwala mu na dziecięcą przyjaźń w majstrowskiej rodzinie: w szkole nienawiści chce wykształcić okrutnika. Gaska, może czternastoletnia, spostrzegłszy w sklepie puszkę z napisem: „Na kościół Zbawiciela”, gniewnie woła: „Precz z tem! nie potrze-

ba kościołów". Wszystko to dojrzewa w słońcu naszego socjalizmu...

A tymczasem przeczulenie dusz; jakaś histerya idealizmu, nakazuje czcić dziecko jak bóstwo. Do woli jego ma stosować się nauczyciel, bez odwołania się do jego rozumu nie może nadawać kierunku zadaniom i znojom szkoły. Pięćstoletnie wyrostki z „partyi“, bez elementarnej nawet nauki, prowadzą sprawy społeczeństwa, na ostrzu noża roznoszą programata społeczne; nasycione bibulą i frazesem, zwalają stare ustroje świata, wylamują mury przesądów, odświeżają ludzkość zatęchłą technieniem przyszłości, w której nie będzie już ani bogatych, ani biednych, ani panów, ani sług, ani wyższych i niższych — lecz wszyscy równi, jak morze wiecznie spokojne, w jakie wpatrzył się młodzieniaszek, ale jakiego nie zna, nie znała nigdy Natura. Precz ze zgnilizną! a zgnilizną dla takiego mędrca jest wszystko, co było, zanim na świecie stanęła jego kołyska. Zgubna zarozumiałość poznieprawiała najlepsze, szczerą otuchę wzbudzające siły. Paradoks i sofizmat, wypierając logikę, uniezdalniając do wiedzy, ubożąc społeczeństwo, tak właśnie wiedzy potrzebujące. Niedaleko odbiegł od prawdy jeden z najwybitniejszych ludzi w narodzie, gdy w rozmowie ze mną całą tę nawałnicę dzisiejszą nazwał *paidokratją*.

Wraz z dzieckiem zaciągnęła się pod sztandar odrodzenia świata w Polsce kobieta. Kto przegląda ponury listy kaźni, tego uderza ogromna liczba kobiet, wyrzucanych ze społeczeństwa. Jak charakterystyczną dla całego ruchu jest jego młodzieniaszkowość, tak znamieniem jego niestartem pozostanie

wielkie w nim uczestnictwo kobiety. Nie tego chciała dla niej Orzeszkowa, kiedy ją wyrwała z odwiecznego niedołęztwa, usprawiedliwianego wątpliwością natury, potrzebą opieki męskiej, która najczęściej, o ile nie była błagą czczego formalizmu, stała się przemocą gnębiącego przywileju; nie o tem dla niej marzyła, kiedy ją zwracała ku światłu i pracy, ku czynom, myślom i uczuciom społecznym; inną przyszłość i rolę w społeczeństwie jej wskazywała, kiedy z etatu życia męskiego i władzy męskiej przenosiła ją na etat życia własnego i władzy własnej nad sobą. I co? Życie odpowiedziało na marzenia chichotem. Lusja Otocka może nie znalazła ani jednego godnego siebie sobowtóra, ale tysiące młodych, zaledwie rozkwitających kobiet poszło tą samą drogą, z której ją student petersburski rwał do stolicy północnej.

I jedno jeszcze rozezarowanie czyhało na wielką autorkę: żyd. Nie doczekała się Orzeszkowa Meirów Ezofowiczów, wskrzeszających legendową pamięć Zygmunta Starego i Wahla: dożyła ruchu odśrodkowego, który gwałtownie z więzi społeczno-narodowej wydiera zastępy jako tako uświadomionych, a sięga coraz natarczywiej po masy ciemnych i biednych i przez biedę znieprawianych. Na wspianą scenę, zakończającą jedną z najpiękniejszych powieści polskich, odpowiada Syonizm zaparciem się tego wszystkiego, czem Meirowi zgotowała los tragiczny, szlachetność serca i rozległość umysłu. Tradycje pogrzebu Pięciu Ofiar przysłoniła już dawno żądza jakiejś mglistej, majaczącej samoistności, sama w sobie nierozumna, nieszczera, w nieuniknio-

nych skutkach swych samobójcza. Do Syonu oni nie pójdą i gdyby nawet sam przyszedł do nich, nie chcieli by go. Z całego marzenia, jeżeli ono jest, tylko obca cywilizacja może mieć pastwę dla siebie, a nieuniknionem następstwem ruchu odśrodkowego będzie wzmożenie się antysemityzmu.

Ale oni o tem myśleć nie chcą. „Polak wyznania mojżeszowego”, stał się dziś hańbą w oczach nowych wsteczników żydowskich, jak na wiele lat przedtem był już pośmiewiskiem starych wsteczników polskich. Na pogrzebie takiego Polaka, może już ostatniego z najpierwszych, Henryka Wohla, w maju r. b., nie było prawie wcale żydów: odstręczyła ich polskość. Zato przyciągnął ich odrazu do siebie socyalizm.

W ryczącej sielance dni naszych, Żydzi ogromny biorą udział. Od wygnania ze zburzonej Jeruzolimy, od wypędzenia z Cyrenaiki, od kiedy zawitali do Europy, po raz pierwszy w chwili obecnej na ziemi polskiej występują, już nie jako talmudyści i uczeni, nie jako lichwiarze i bankierzy—bodźce i zarazem pijawki ekonomiczne — ale jako siły współczynne wielkich gminoruchów, wypadków dziejowego już znaczenia. Wprawdzie pierwszy ten ich występ na widowni dziejów europejskich nie przyniósł nam szczęścia; ale nie zgotowała go też ojczyźnie swojej i młodzież najetnograficzniej polska, a o tem zapominać nie wolno, że dla żyda uczestnictwo w rachach socyalistycznych jest jakby dyplomem, wprowadzającym go w życie ideowe Europy. Do burzliwej i burzącej pracy wnieśli oni niezawodnie całą rasową swą zaciętość i niemilosierdzie, które z Księ-

gi Sędziów takim buchają żarem; mogli też wnieść gorący, szczery fanatyzm: ale przeważać wśród nich musi interes, wyprowadzony z jakichś niepojętych rachunków w inteligencyi przewodniej, a wytryskujący, żywiołowo z naturalnej żądzы mas, rozkołysanych pożądliwością; przeważa upór wysysany z zagranicznej bibuły, którą checiwiej zawsze, jak każdą książkę, chwytają, niż etnograficzni Polacy.

Nie pomyliła się Orzeszkowa, wskazując północ jako tę stronę świata, z której nadciągnie burza. Nie stroją się już Julki rzeczywistości naszej w kostium, który zadziwił Lusię, ale, jak on z Petersburga przywiózł swoje marzenie o robotniku—panie i władcy, tak pokolenie dziś, w nieszczęsną walkę uwikłane, duszę swą po socyalistach z roku 1884 wzięło ze Wschodu. Doktryny zachodnie, nie mogąc dać dążeniom socyalistycznym tego, czego same nie mają: oparcia w nauce, dają im przynajmniej dyalektyczne podścielisko; ale rozpęd żywy jak wyszedł tak idzie wciąż ze Wschodu. I nie osłabia tego przeświadczenia fakt, że cały jeden odłam socyalistów, ten właśnie, który żelaza nie wypuszczał z dłoni, polskim się mieni: to tylko późniejszy naloł, to dla wybranych tylko marzycieli dostępny artykuł wiary czy urojenia. Niedawne spory w Sztutgardzie i w Nancy wyciągnęły prawdę z czeluści. Można się ustroić we wszystko, w kostium, w manifest, w program, w doktrynę, nawet w przekonanie, ale w patryotyzm — nigdy; fałsz wyłazi tu odrazu. Socyalizm wojujący jako burzyciel starego świata—z istoty swej jest beznarodowym; naród jest dla niego tak samo przeżytkiem jak własność indywi-

dualna. Zdobędzie się jeszcze na tolerowanie pa-tryotyzmu, ale wyznawcą jego nie stanie się nigdy.

I to również, co najboleśniej zranić musiało autorkę „Nad Niemnem“, przeczuła już autorka „Widm“ i, pisząc swą nowellę, właśnie widmom grozy dla narodu się opędzała.. Kto tak jak ona umiał ideę narodowości ukazać — „Pod światłem szczytów“, ten nawet z praw, zasad i żądz ogólnie ludzkich, z marzeń i tęsknot uniwersalnych, z samego poczucia człowieczeństwa w sobie ssąć musiał polski ból.

III.

Najwierniejszy socjalizmowi sympatyk—forma dziś najdogodniejsza dla inteligencji socjalistycznej—nie oskarży Orzeszkowej o pokrzywdzenie doktryny szyderstwem lub karykaturą. Bohaterkę swą ukazuje nam autorka „Widm“ rzeczywiście jakby bohaterkę sielanki. Z uroczego pączka rozwija się kwiat niezwyklego wdzięku. On występuje w prawdzie natury młodzieńczej, całkowitej, niepodzielnej, z ideą ale i z chucią; ona jest samem tylko marzeniem i miłością ideału. W nim zmysłowość i duchowość, rzetelna żądza czynu i pycha, egoizm i altruizm, nerw i marzenie działają w nierozdzielnej jedności. Czuć w nim siłę, nie mającą względów na nie, czuć rozpęd do zwycięstwa, któremu obcą będzie litość. Wszelką ofiarę, poświęcenie, cierpienie dla jednostek wyrzucił już Julek ze swego słownika, jak wyrzucił z duszy. Nie będzie cierpienia w jego przyszłym społeczeństwie—przyszłem, ale nie dale-

kiem; niema też dziś i w nim samym powołania na męczennika. Ludzkość przerąbał na dwa półcie: jeden z robotników i biednych, drugi z ich wyzyskiwaczy. W pierwszych tylko uznaje prawa jednostki; drudzy niechaj cierpią i giną, bo zginąć muszą. W bezbrzeżnym oceanie ludów, cóż znaczą marne krople pojedynczych istot? Myśl jego zatacza same tylko wielkie łuki, kreśli linie biegnące w nieskończoność. Umysł nie zna oportunistów i kompromisów; rzeczywistość musi być taką, aby odbiła w sobie marzenie całkowite z zupełną wiernością. Co się oprze—padnie: duch zbawienia pędzi jak dzik w kniei. Nie ma dla Julka wątpliwości, namysłów, wahań: wszystko już rozwiązał, rozciął; cały świat przyszedł, gotowy już do stworzenia, czeka w jego duszy na wielką, prawdziwie już nieśmiertelną chwilę ewolucyi. Duch młody pożąda czynów jak błyskawice, pożąda tłumów błyskawicami olśnionych; chce sławy i chwały, a „widma osobistego szczęścia ścigają go wszędzie“.

W tem wszystkim jest prawda, to wszystko jest w Julku. Inna jest żywiołowość w niej. Ona podczas roku uniwersyteckiego, który jemu przyniósł „sto prawd wspaniałych“ i pozwolił stać się nowym człowiekiem—nie odrywała się od książki—oczywiście, zakazanej. Czytała i myślała, a wpatrując się w ciemność swej izdebki na poddaszu żółtego domu, miewała widzenia wielkich sztandarów, na sztandarach wielkich hasła — a pod hasłami—walk wielkich. Widywała tłumy bladych i nędznych, ręce wyciągających do nieba, do słońca — sprawiedliwości słońca: — wschodziło, jaśniało i znikalo.

Potem stawały przed nią stosy gorejące... na jeden z nich sama wstępowała z rozkoszą. Do życia potrzebowała właśnie tego, od czego Julek uciekał: ofiary; potrzebowała skrzydeł wielkiej miłości i wielkiej myśli, żyć mogła tylko na szczytach: same rysy czystego, czystością swą pociągającego idealizmu. Gdy Julek po roku wrócił, ona ma jedno tylko wołanie: „Ucz mnie, daj wiedzę, nasycić pragnienie, które mi każe żyć wzniosłe wszystkimi siłami”. Uczyl ją więc, dopóki w niej nie rozniecił żądz „zjednoczenia się najdoskonalszego w wierze, wiedzy i dążeniach”, aż wreszcie dla owego „życia wszystkimi siłami” porwał ją z sobą do ponurej stolicy.

Miała swe długie godziny idea; ma krótką chwilę natura. Z Julka wybucha miłość namiętna, prawdziwie jego istoty odpowiadająca. Idealizm Lusi przebywa próbę ogniową i wychodzi nietknięty. Stają się znowu dla siebie bratem i siostrą—Pawłem i Wirginią czarnych borów przyszłości. Julek, pokonany podniosłością duszy dziewczęcej, choć realista—jak się mieni—powtarza za nią przysięgę, że do śmierci i na wieki będzie dla niej tylko bratem. Po ludzku biorąc, jest to wzgórze psychologiczne sielanki; odtąd już schodzić będą w dół. Chybionym byłby rysunek młodzieńca, gdyby już po przysiędze i pomimo niej, Julek nie powiedział „siostrze” o wolnej miłości, o szczęśliwych parach petersburskich, wśród których są i księżniczki, skazujące się dobrowolnie na czarny chleb niedostatku i nędzy. Nie byłoby też prawdy w naiwnym idealizmie Lusi, gdyby przysięga, którą narzuciła była Julkowi, ją

samą wstrzymała od ucieczki wspólnie z nim „z pod olowianego nieba” — „z grobu” — z Wilna. Ona szczerze ucieka tylko z bratem w idei i dla idei. Jeśli swym listem zabije dziadka, uczyni to bezwiednie, w podnieceniu ideowym, który jest już stałym jej stanem.

Jeden tylko rys w przejawie Lusi wydaje mi się zbyt czystym, niepotrzebnym, odbiega od złotego cięcia doskonałej rzeźby: dziecięcy szept z dumy Niemcewicza—wtedy, gdy już drzwi od przeszłości były niepowrotnie zatrzaśnięte. A znowu w postaci Julka, który, nie będąc rozwiniętym charakterem, musi z konieczności występować jako typ, razi jeden rys, skłócony z całością, niesprawiedliwy, krzywdzący już nie tylko jego samego, ale cały legion podobnych mu szaleńców. Gdyby wśród nich przeważało przekonanie Julka, że bez nadziei bogactw żyć nie warto, czyżby w biedzie szli na śmierć, niemającą już przecież żadnych bogactw do rozdania? I co znaczy to złote szczęście, stawające przed Julkiem? Dlaczego złote, dlaczego „o srebrnym dostatku dla siebie Julek nie mógł myśleć bez obrzydzenia?” Na co „snują mu się wciąż po głowie marmurowe pałace, lukullusowe uczty, błyskawiczne jazdy i wszelkie możliwe wytworności przemysłu i sztuki?” Gdyby, podając się za ideowca, pożądał tego wszystkiego dla siebie, byłby łotrem; gdy zaś pożąda dla całej ludzkości, jego żądza obraża nie tylko jego ideę, ale i najpospolitszy rozsądek. Rzeczywiście socjalistycznym, w rdzeniu doktryny tkwiącym, jest użycie — powszechne i osobiste, które Orzeszkowa słusznie do charakterystyki Julka wpro-

wadza, i to już wystarczyć było powinno. Wtedy byłby Julek typem z r. 1880, zupełnie prawdziwym.

Kanony wspólnej własności, doskonałej równości, pracy bez znoju, szczęścia bez chmury i braterstwa ludów—usymbolizowane w krwawo-czerwonej koszuli i pawiem piórku Polaka; zrównanie kobiety z mężczyzną wobec prawa obyczajowego; wskazanie rodziny jako instytucji zbyt ciężkiej, a obowiązku jako gwałtu zadawanego wolności—są ścisłe zdjęte z tego radykalizmu czy racjonalizmu bezwzględного, który usiłuje sięgnąć do samego dna społeczeństwa przez bezdenność jednostki. Sztuka niczego tu nie dodała, nie spaczyła: co jest w życiu to i w niej.

IV.

Najpierwszy w czasie, odrazu masowy za sobą porywający, zjawiał się programat ekonomiczny, jedyny trzeźwy i poważny rozdział wielkiego *cahier des doléances* socjalizmu. Tak, trzeźwy i poważny, ale jakże po pijanemu i lekkomyślnie wykonywany! Czyli z tego programu i z całego kłębu pojęć żądań i marzeń, ujmowanych w nazwę „socjalizm”, nie wywołało dodatniego wzruszenia w Orzeszkowej—człowieku, a przez człowieka i w autorze? Czy ten świat był dla niej zawsze najlepszym ze światów i nigdy nie dolatywały do niej krzyki bólu, krzywdy i nędzy? Czy klasy posiadające i używające nigdy i za nie nie sięgały na siebie jej gniewu, potępienia, nawet przekleństwa? Już w jednej z najpierwszych powieści, słabo jesz-

cze pisanej, ale obfitującej w rdzenne pomysły i momenta psychologiczne — w „Marcie” — temat nędzy jest zarazem tematem krzywdy i męki. I ciągnie się już to pasmo przez późniejsze utwory, jeśli nie w temacie głównym, to w pobocznych jego wspaniach. A któż to napisał „Niziny” i „Chama”? Człowiek biedny u Orzeszkowej jest przedmiotem troski serdecznej, pobudzającym rozum do krytyki życia i świata — takiego życia i takiego świata, jakie rzeczywiście są i przy danym poziomie moralności być muszą.

Ten punkt moralny — uszlachetnienia serca — dla poety będzie zawsze pałał najmocniej, bo on sam, duchem narodziwszy się z serca, przez serce tylko świat pojmował i wyczuwał. Miarę zła na świecie daje poecie nie to i czy taki lub owaki układ polityczny lub społeczny wytrzymuje próbę mądrości, zawsze pohopnej do uważania się za naukową i nieomylną, ale — czy w tym układzie człowiek nie cierpi niesprawiedliwości i czy może korzystać z tych dóbr, po które sięgać kazala sama natura pod grozą znikczemnienia, pod klątwą duchowego zaniku i materialnej niedoli; czy jest wewnętrznie i zewnętrznie wolnym czy też niewolnikiem? Do tego pytania sprowadza się krytyka wszelkich urządzeń, organizacji, ucisków, ciemnot i wszelkich nałogowych zboczeń Ludzkości. A że tylko światło wyzwala człowieka wewnętrznego, że bez niego wolność zewnętrzna może tylko zadowolić i zabić, ale nie podnieść i nie wzmocnić, więc Orzeszkowa wielkim głosem przez całe życie swoje wołała o światło dla społeczeństwa — najciemniejszego

chyba w Europie. Lepszą przyszłością świata była dla niej przynajmniej taka, w którejby cywilizacya środek swej ciężkości odchyliła od osi materji a zbliżyła do osi ducha. Lepszej przyszłości nie pojmowała nigdy bez lepszego człowieka: do tego, aby było rzeczywiście lepiej na świecie, potrzeba, aby się w nim wyrobił, utrwalił i rozrósł typ człowieka dobrego, aby dobroć z sere ludzkich, wszedłszy w obyczaje i instytucye, skutecznie już mierzyć się mogła z okrucieństwem egoizmu. Jest to polityka poetów — jedyna, do której nie potrzebują przebierać się za „lwów ryczących”, w której nie błędzą, nie mówią i nie robią głupstw.

Stanowisko człowieka wewnętrznego jest tak biegunowo przeciwne mechanicznemu i koszarowemu ideałowi socjalizmu, że już dla tego samego nie mogła Orzeszkowa sympatyzować z rowym sztandarem, z nowem wrzeniem dziejowem. Zdaje mi się, że dla niej wszystko, cokolwiekby przyjsię mogło, choćby i wspólna własność, i obiad wspólny, i miłość bez doboru — musiałoby wyjść organicznie z wnętrza człowieka. Głowa, obejmująca tak rozległym promieniem, umysł na tym stopniu wiedzy nie może nie widzieć, że ukojenie się burz dziejowych i zorganizowanie wiecznego pokoju, wytworzenie jednego typu istnienia dla milionów istot, pomiędzy którymi nie będzie dwu do siebie podobnych, jak na Górach Ponarskich nie było dwu liści jednakowych; że doskonała równość, przypominająca step ogolony z burzanów a miażdżąca indywidualność ludzką; wyborna wolność, wielona

we władzę, ale pozbawiona przedmiotu i celu, gdy wszystko, coby w sereu zadrzeć mogło, będzie już w rzeczywistości; że, dalej, nieskazitelna geometrya w podziale pracy społecznej i arytmetyka w podziale jej owoców; bezinteresowność wobec rzeczy, którąby człowiek swoją nazwać pragnął i mieć tylko dla siebie; osadzenie każdego we wskazanej mu, mniejsza o to czy właściwej, przegrodzie, ale za to zapewnienie mu w niej strawy, odzieży, dachu nad głową, szkoły, wiedzy i uciechy; wygnanie nazawsze głodu, jeżeli go sama natura nie sprowadzi — a wtedy już nie będzie ratunku dla systematu — że całe to niebo socjalistyczne, jeżeli kiedykolwiek zestąpi na ziemię, to tylko po długim procesie rozwoju, a nie w błyskawicznej ewolucyi, tylko po wyeliminowaniu żądz przez idee, po cierpliwie przez Naturę samą spełnionem — że tak powiem — przetworzeniu tkanek Ludzkości.

W naturze funkcyja wszelka zjawia się wtedy, gdy ma dla siebie odpowiednią materję — siłę, a ustaje dopiero z chwilą, gdy się ona wyczerpie, od posługi uchyli, aby pójść w służbę nowej, ale zgola już odmiennej funkcyi. To samo jest i w świecie ludzkim; w naturze społecznej: własność indywidualna wygaśnie, gdy indywiduum przestanie ją cenić; praca stanie się lżejszą, gdy cięższą coraz bardziej brać będzie na siebie machina, a ogólna oświata i żądza wiedzy oderwie człowieka od pracy fizycznej do umysłowej; namiętności nie będą już wniecały pożarów, gdy się wypalą; zmysłowość — nie będzie zwiewała konstrukcyj prawodawców i humanitarystów, gdy człowiek zacznie żyć przeważnie

umysłem i sercem, gdy się przez trwałe poczucie dobra wszystkich uspołeczni, a przez czystość pobudek swych umoralni; nie będzie wreszcie głodnych, gdy się praca wyróżniczkuje, na skali rozumu podniesie i rozpostrze a wrosła już w ludzi ludzkość ze wstrętem widmo głodu od innych odpędzać będzie. Wieki to jeszcze bardzo dalekie, ale pewniejsze od socjalistycznej przyszłości. Ster nad światem ujmie wtedy dobroć. Dziś już największą, choć utajoną, wagę dla świata ma człowiek dobry.

Wszystko jednak, co się stać ma, stać się musi na całym globie jednocześnie i staje się wciąż w całej Ludzkości, w każdym momencie jej istnienia. Niema wyjątkowych pól doświadczalnych, któreby przyjęły w siebie siew przyszłości z zewnątrz przez marzycielstwo rzuconej. Nic nie poradzą wybuchy i wytryski, nic troski i cierpienia, gwałty i przekleństwa, niczego nie dokaże sztuka uszczęśliwiania Ludzkości, usiłująca wieki stłoczyć w jedną chwilę. Egipska Ese zdejmie zasłonę z oblicza dopiero wtedy, gdy w człowieku samym trud przetworczy się spełni. A tymczasem obiecywanie ludowi rajów, a wtrącanie go w nędzę i zbrodnię, zaprawianie go już dziś do kielznania burżujów, do zmiatania układów społecznych, kapitalistycznych, arystokratycznych i burżujskich, obrzydzanie mu pracy jako kary za biedę i nędzę, wychowywanie go w znieprawiającej idei szczęścia, w pysze praw nierównoważonej pokorą obowiązków, trzymanie go w ciemnocie, rozjaśnianie tylko płomieniami nienawiści, podejmowanie nad nim samej nawet pracy kulturalnej z jawną dążnością do rozsądzania

jedności narodowej i społecznej, sianie weń pogardy dla przeszłości narodowej, dla idei narodowości, dla żywego narodu—to wszystko, na co dowody złożyła sama prasa socjalistyczna, a składać nie przestają czyny wojującego socjalizmu — krwawą już dotychczas wyrządziło krzywdę i samemu robotnikowi i temu współlistnieniu, które nas wszystkich—czy chcemy czy nie—w jeden solidarny naród zespala i pod koło wspólnego losu rzuca.

Takiego socjalizmu jak obecny polski nie było jeszcze na ziemi. Wogóle mało oryginalni, do głupstwa mamy zawsze szczęście. Jesteśmy krainą widm i upiorów, dziś o wiele straszniejszych, niż wtedy, gdy je od nas z wyżyny talentu swego odpędzała kobieta, kochająca naród swój, nie ekliwem pochlebstwem, ale surową prawdą. I za to wdzięczni jej jesteśmy. W narodach, jak nasz, sztuka piarska nieraz rycerskiem rzemiosłem być musi i powinna.

Stanisław Krzemiński.

Nigdy jeszcze żadne drzwi pod słońcem pochłubić się nie mogły tak pięknym odzwierciedleniem, jakim był ten, który od roku 1868 ery naszej, przez lat dziesięć przeszło, przyozdabiał wnijsie do najwspanialszego hotelu miasta Onwilu—hotelu, noszącego huczną nazwę Wszech-Krajów. Hotel to wspinały, wnijsie nie byle jakie i nazwa szumna. Jednakże wielu z pomiędzy przybywających do hotelu podróżnych, zamiast przypatrywać się krytemu blachą, a wysłanemu asfalcem podjazdowi, marmurowym schodom i zdobiącym je kobiercom i posągom, zatrzymywało wzrok na postaci i twarzy odzwierciedlonej—wzrok, w którym przez chwilę objawiało się zdziwienie pewne, lub nawet zmieszanie. Książca hotelu, pan Leonid Igorowicz (czytaj Lejba syn Ieka) Rozenblatt, wytworny młodzieniec, z rzęsiście ufryzowanym czarnym włosom, z turkusowym pierścieniem na palcu i wiecznie towarzyszącym mu zapachem różanego listka, często bardzo z chlubą i rozkoszą słyszał zwrócone ku sobie wyrazy gości:

— Ależ szwajcara macie... no! skądście go sobie zapisali? Płacicie mu chyba sumy bająskie...

Niekiedy goście dodawali:

— Nie dziw zresztą, że możecie sobie książąt udzielnych na Szwajcarów najmować... tego ludzi obdzieracie...

Ostatnie przemówienia te, mniejszą, niż pierwsze, rozkoszą napawały pana Leonida Igorowicza. Ażeby więc ująć tę wynagrodzić sobie, a przytem okazać gościom, jak dalece wyższym się czuje nad wychwalanego przez nich szwajcara, z całej siły szczupłej piersi swej i z wyniosłością największą, na jaką tylko zdobyć się mogła drobna istotka jego, wołać zaczynał:

— Andrzej, Władysławo... aj! jakie to imię! Otock! Nu! Otock czy ty *ogłuchał*? Otock?

Wołania te przecież pozostawały wołaniami na puszczy dopóty, aż pan Leonid Igorowicz, zmuszony istotną pilnością sprawy, albo żądzą pokazania obecnym, że bądź co bądź, szwajcar słuchać go musi, zdecydował się wprowadzić w mowę swą małą poprawkę i wołać zaczynał:

— Panie Otock!

Wtedy przywoływany wychodził z oszklonego pokoiku, zwanego „łozą szwajcara“, albo wracał z pod krytego podjazdu, gdzie z powozów wyjmował pakunki gości, albo jeszcze zbiegał z marmurowych schodów i, stając przed rządcą, wymawiał:

— Słucham pana!

Obecnym wydawało się wtedy, że to żart, i że wnet, pan Leonid Igorowicz ukloni się nisko przed Otockim, mówiąc:

— Co Wielmożny Pan rozkaże? Może kupca na pszenicę nastreczyć?

Pochodziło to ztąd, że Otock wyglądał tak, jakby przez całe życie swe siał, zbierał i sprzedawał pszenicę. Szlachcie z dziadów pradziadów, szlachcie rolnik z rycerską krwią w żyłach, patrzył mu z czoła i oczu, z postawy i ruchów ciała. Czoło to, wysokie, na pierwszy zaraz rzut oka przypominające podgolone czupryny, przerzynały dwie poprzeczne zmarszczki, blizny niby, nie z orężnego przecież boju wyniesione. Z dumnym smutkiem czoła tego zgadzał się dobrze wyraz jego oczu, smutnych także, lecz śmiałych, a niekiedy, jak stał na słońcu, błyszczących. Usta za to miał on łagodne, a niewieście ich uśmiechy napół kryły się pod ogromnym białym wąsem, który mu aż na pierś prawie opadał. Włosy jego daleko mniej były siwe, niż wąsy; przez cerę twarzy przeglądało życie, skąpane naprzód w swobodnych powiewach szerokich pól, a potem w długich, wielkich cierpieniach.

Rosła i silna postać człowieka tego okrytą była obcisłym, do ziemi prawie długim, surdudem z granatowego sukna. Szeroka pierś jego błyszczała galonami i posrebrzanymi guzikami hotelowej liberyi. Boże, wszystko widzący! Ty jeden tylko wiedzieć możesz, co się z nim działo w chwili, gdy po raz pierwszy przywdziać miał granatowy surdutowy, z posrebrzanymi taśmami i guzikami! O miejsce odźwiernego w hotelu Wszech-Krajów starał się był usilnie i gorliwie, a dla otrzymania go przez dzień dni z rzędu po dwie lub trzy godziny przesiedywał w przedpokoju hrabiego X., który skutecznie zaprotegować go mógł, lecz którego przedpokojowa służba nie oznaczała się zbyt uprzejmością dla

tych, względem których pan jej miał wielostronne obowiązki. Przed tymi za to, względem których pan jej żadnych wcale nie miał obowiązków, służba ta czołem niemal o ziemię biła; ci też do salonów pana hrabiego wchodzili i wychodzili dumni, wielecy, silni; a Otockie, w kącie przedpokoju, na stoliku lokajskim siedział, bladł bardzo niekiedy, jak stałą wyostrzoną błyskał szarą żrenicą — i czekał. Doczekał się nakoniec. Pan hrabia przypomniał sobie, że przecież coś tam... dla tego tam... uczynić trzeba; udzielił mu audyencyi i na karcie wizytowej skreśliwszy słów kilka, posłał ją właścicielowi hotelu Wszech-Krajów, który nie był wprawdzie ani hrabią, ani księciem, ale nie był też żadnym tym tam... bo miał miliony, a ochrzcił się święconą wodą (spytajcie go sami: w jakim kościele?) wtedy właśnie, kiedy Otockiego los bierzmował wielkim policzkiem.

Właściciel hotelu Wszech-Krajów rozkazał mu stanąć przed oblicznością swoją, a gdy już stanął, rzekł:

— Pan żądasz *zgodzić się* u mnie za szwajcara... no ja nie bardzo z tego kontent, bo w mojej służbie same porządne ludzie powinni być, a pan zrobiłeś głupstwo, wielkie głupstwo...

— Za pozwoleniem pana! — drżącym głosem zaczął Otockie, ale właściciel hotelu wyprostował się i z dłonią, na marmurowym stoliku złożoną, mowę mu przerwał:

— Kiedy ja gadam, to żadnego „za pozwoleniem“ niema... Kiedy ja gadam, to wszyscy powinni miłeć! szal i obydwoma uszami słuchać. Pan

zrobiłeś głupstwo, pan byłeś waryat, od pana trzeba uciekać, jak od szalonego. No! ale ja jestem dobry człowiek; ja kiedyś byłem w Otoku i dawniejszy dwór pański widziałem; mnie pana trochę szkoda, że pan teraz bez chleba jesteś! I z hrabią Henryczkiem ja w wielkiej przyjaźni żyję, a on mnie za panem prosi. To już ja pana za szwajcara wezmę i tylko bardzo proszę, żebyś pan o wszystkich głupstwach zapomniał, a o tem tylko pamiętał, że moim służącym jesteś... i wszystko tak robić powinien, żeby mnie z tego największa korzyść była..

Otockie uklonił się. O! cóż to był za ukłon! Kiedy oddawał go, patrzącemu z boku mogłoby się zdawać, że wszystkie kości jego, wszystkie, aż do najdrobniejszej, buntują się przeciw zadawanemu im gwałtowi i krzyczą z bólu. Ale właściciel hotelu Wszech-Krajów w najmniejszym stopniu nie znał się na niemych krzykach udręczonych kości ludzkich i gdy Otockie znajdował się już u progu wspaniałego salonu przywołał go jeszcze przed obliczność swoją.

— Pan Leonid Igorowicz Rozenblatt rozmówi się z panem detalicznie, co do pana obowiązków, a pan będziesz jego słuchał; bo choć on jeszcze bardzo młody, ale on mój kuzyn i ja każę, żeby wszyscy moi słudzy szanowali go tak, jak gdyby on był ja...

Pod przewodnictwem pana Leonida Igorowicza odbywszy parogodzinną podróż po wspaniałym hotelu, Otockie stanął nakoniec u drzwi izdebki, która mieszkaniem jego stać się miała. Ręką, na której podówczas nie świecił jeszcze pierścień z tur-

kusem, wskazując mu izdebkę, pan Leonid Igorowicz rzekł:

— Tam jest ubranie wasze... ja to ubranie kazałem tam położyć... niech pan ubierze się i będzie gotów przyjąć gości, co za parę godzin z pociągu przyjadą. Pan już wiesz wszystko co i jak robić... ja pana już uczyłem... Niech pan tylko dobrze sobie zapamięta: u nas edukacya powinna pokazywać się we wszystkim... My tu wszyscy edukowani i dlatego hotel tak idzie, że mój stryj jeszcze jedno skrzydło dobudować chce... A co dla niego znaczy! on taki bogaty dlatego, że edukowany. W teraźniejszym świecie... Jak panu imię?

— Andrzej.

— A imię waszego ojca?

— Władysław.

— W teraźniejszym świecie, Andrzej Władysławo... aj! to trudne imię!

— Niech mi pan lepiej mówi: Otock!

— Dobrze. Mnie to tam wszystko jedno...

W teraźniejszym świecie, mój panie Otock, wszystko stoi na edukacyi: bez edukacyi człowiek głupi i nie wie, w którą stronę się obrócić. Ja bardzo szczęśliwy jestem, że mam edukację i bardzo żałuję tych, co jej nie mają... No, mnie wołają na górę do stryja! już ja muszę iść, a wy Andrzej Władysław... aj! jakie to imię!... ubierajcie się w naszą liberyę, tylko *geschwind!* żeby jak goście przyjadą, być... *fertig!*...

Co pan Leonid Igorowicz rozumiał pod wyrazem edukacya, o tem Otock dowiedzieć się miał później, teraz zaś, szczęśliwy, że choćby na krótką

conem powietrzu, pośród obcych i niepojętych im obrazów, albo przypadli do ziemi, do samej ziemi i przyłgnęli do niej mocno, cicho, tak, jakby pragnęli, aby świat o nich zapomniał, aby tylko końca swego w pokoju i bezpieczeństwie doczekać mogli. Nadewszystko przecież, nadewszystko Otock pamiętał o tem, że był kiedyś ojcem, miał jedyne go syna, który w czasie nieobecności jego, z szybkością nadzwyczajną dokonał z kolei wielu rzeczy: dorósł, w charakterze najniższego kancelisty pracować zaczął w jakimś rządowym biurze, ożenił się, wpadł w nędzę, dostał suchot i — umarł. Żona jego, a Otockiego synowa, poszła wkrótce w ślady męża. Jeden ze strumieni, przez burzę wywołanych, ten mianowicie, który płynął sieroctwem przedwczesnem i ubóstwem niespodziewanem, porwał na fale swe dwa te liście bezdomne i słabe i uniósł je w nieznane krainy.

Otock, rozejrzawszy się dokoła i dowiedziawszy się o wszystkim, pomyślał, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką uczynić mógł, było dobrowolne udanie się w tę drogę, w którą udał się jedyny syn jego, a z której nie wraca nikt. Wprawdzie trudno mu było zdobyć się na krok ten, gdyż posiadał on wiarę religijną, samobójstwa wzbraniającą. To jednak, czego pragnął, eo uważał za wypadek najpomyślniejszy ze wszystkich, jakie go jeszcze na ziemi tej spotkać mogły, przyszło-by może samo przez się, wskutek nadzwyczajnego zniechęcenia do wszech rzeczy ziemskich, które go ogarnęło i odebrało mu tak siłę, jak ochotę, bronić się od głodu. Coprawda, nie miał on nawet przeblysku pojęcia o tem,

w jaki sposób mógłby i potrafił pracować na kawałek chleba. Otwarcie zeznawał przed sobą, że oprócz siania, zbierania i sprzedawania żyta i pszenicy, to jest tego, co robił przez całe życie, nie umiał robić nic. Jednak ani mu przyszło na myśl zapytać siebie: co z tego będzie? Miał jeszcze o czem przeżyć tydzień, dwa, a potem... o! strumieniu, który na falach swych uniosłeś w krainy nieznane wszystkie bogactwa i ukochania człowieka tego, z czołem zoranem i wąsem, jak śnieg białym, przybywaj!...

Z czołem zoranem i białym wąsem, melancholijnie na pierś opadłym, z twarzą znieruchomiałą i dłońmi bezwładnie na kolana opuszczonemi, Otocki siedział w najętej izdebce, zimnej, mrocznej i nieustannie, z wyrazistością nigdy przedtem niebywałą, słyszał dokola siebie szum starych lip, klonów i topoli. Lipy były rozłożyste i gwarzyły najgłośniej; klony zaś, osypane drobnem, żółtem kwieciem, kłaniały się z dala topolom tak połyskującym, jakby je kto był w roztopionem srebrze zanurzył. Jabłonie, grusze, śliwy, rosnące pośród ogrodowych kwadratów, prawyły o czemś ciszej i skromniej, a szepty ich, niesione wiatrem, łączyły się w powietrzu ze smutnym szmerem, stojącej po polach, samotnej i dzikiej braci. Wśród szumów tych, które gammą spadów i tonów przeróżnaitych toczyły się w powietrzu, kędyś, nad strzechą jakąś zapewne, klekotać zaczął bocian i klekotał wciąż, coraz zawzięciej i donioślej, a gdy milkł na chwilę, z za drzew i strzech, z nad runi zielonej, z błękitnego powietrza, dolatywało cichutkie, srebrne dwo-

nienie skowronka... Otocki wsłuchiwał się w otaczające go szumy i odgłosy, i myślał; — gdyby to umrzeć!...

W tem otworzyły się drzwi, o których zamknięciu ani pomyślał; do izdebki wszedł nieznany mu człowiek i, wymawiając znane niegdyś nazwisko, oddał mu list. Otocki list ten przeczytał i — odłożył! Jakby w czarodziejskich, siłodawczych wodach skąpany, począł on dnia tego ruszać się po świecie, starać się o pracę jakąś, jakąkolwiek, byleby mogła mu udzielić możności życia. Starał się, wypytywał, prosił, kark do ukłonów zginał, tłumil wybuchy głosu, powściągał błyski żrenie, wszystko znosił, na wszystko przystawał, byleby dopiąć celu. Dopiął go nakoniec, zdobył zajęcie i zarobek i, wypuściwszy z rąk surdut liberyjny, runął na stół, kryjąc w dłoniach twarz, płonąącą szkarłatnym rumieńcem.

Nie chcąc przyodziać się w liberyę hotelu Wszech-Krajów był to zapewne przesąd, przesąd marny i bezpodstawowy, sprzeczny zupełnie z powszechnie znanym axyomatem, że nie suknia ozdobi człowieka, ale człowiek suknię. Suknia! cóż? prosta to kwestya barwy i kroju. Rządząc się prawami czystego rozumu, Otocki powinien był ze stoicką obojętnością włożyć na siebie odzież, która z wszelką inną odzieżą różniła się tylko krojem i barwą. Na nieszczęście, o doli, lub niedoli człowieka, nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają też na nie uczucia, przywyknienia i nawet przesady. Otocki przesądnym był, to pewna; nie unieściwiał to przecież faktu tego, że liberyi hotelu

Wszech-Krajów, ze wszystkich sił i wszystkimi władzami istoty swej włożyć na siebie nie chciał, a niechcenie to sprawiało, że cierpiał bardzo. Cierpiał tak bardzo, że tuż, tuż zerwać się już miał ze stolka, udać się do pana Leonida Igorowicza i oświadczyć, że zrzeka się miejsca, o które starał się był jednak tak długo i tak gorliwie; gdy... drżąc dłoń jego, przesuwając się po piersi, wzdętej czemś nakształt lkania, dotknęła szeleszczącego przedmiotu jakiegoś, znajdującego się w kieszeni wytartego surduta. Szybko, gwałtownie niemal, wyjął on z kieszeni szeleszczący ten przedmiot. Był to list, ten sam, który oddano mu wtedy, gdy w zimnej i mrocznej izdebce siedząc, wsłuchiwał się w czarodziejski śpiew swej przeszłości i myślał o udaniu się w bezpowrotną drogę. I teraz także otworzył list ten i od początku do końca przeczytał, co następuje:

„Szanowny panie Andrzeju!

Nie jest zapewne panu wiadomem, że syn jego, umierając, pozostawił dwuletnią córeczkę, którą w rok potem Pan Bóg pozbawił też matki. Przez pamięć na dalekie pokrewieństwo, które łączy mię z kochanym panem Andrzejem i przez litość nad biedną sierotą, wzięłam dziecię do domu mego, gdzie też dotąd przebywa, hodując się wspólnie z dziećmi memi. Nie jestem jednak wcale bogatą, mam troje dzieci własnych, a ostatnie czasy zrujnowały mnie majątkowo i zarazem pozbawiły opieki męskiej. Dowiedziawszy się więc o powrocie szanownego pana Andrzeja z podróży, postanowiłam zapytać: czy nie zechciałby pan wziąć wnuczki swej do siebie? ja bowiem

z trudnością mogłabym ją nadal utrzymywać: co zaś do wychowania, to już zanie nie ręczę i nie nie przyrzekam. Jeżeli pan przychyli się do prośby mojej, postaram się, aby ktoś, godny zaufania, odwiozł dziecko do Onwilu. Luscia ma teraz lat sześć i jest nadzwyczaj podobna do ojca swego, któregośmy wszyscy tu znali i żalowali bardzo. Biedak, porządnego wychowania w nieobecności pana nie otrzymawszy, pracował, jak mógł i umiał, ale, żony i dziecka przyzwyczajenie utrzymać nie mogąc, zapracował się i zagryzł w bardzo młodym wieku. Synowa pańska była dobrą i ładną kobietą, ale słabowitą też, delikatną i — do niczego. Luscia jest prawdziwie dzieckiem nieszczęścia i tylko w szanownym panu można pokładać nadzieję, że los jej uczynisz lepszym, niż był ten, który zgłębił biednych jej rodziców“.

Nadzieję! w nim tylko mała wnuczka jego pokładać mogła nadzieję uniknięcia złej doli! w niej tylko spoczywała nadzieja jego — posiadania jeszcze w życiu tem jakiejś nadziei!

Zerwał się ze stolka i pochwyił w obie ręce surdut liberyjny. Ubierał się prędko, prędko zapinał u piersi srebrne guziki, prostował i wykładał u szyi kołnierz, oszyty galonem; a choć na czoło jego, bardzo blade, wystąpiło kilka kropel potu, choć czuł, że skóra jego przy zetknięciu się z granatowym suknem drga mu i boli od stóp do głowy; na ustach jego, pod wąsem białym, przewijał się uśmiech, a szare źrenice błyszczały jak stal.

W tej chwili zastukano do szklanych drzwi izdebki i głos kobiecy zawołał:

— Panie Andrzeju! panie Andrzeju! Lusię przywieźli! przyprowadziłam ją panu!

Wtedy rosły i barczysty człowiek ten, jak w futerale, zamknięty w obeisłym, do ziemi prawie długim, surducie, z młodzieńczą żywością rzucił się ku drzwom i, porwawszy w ramiona szczupłe, ubogo ubrane, dziecko, wniósł je do izdebki. Tu, bladą twarz dziewczynki wysuwając pod światło gazowego różka, cheiwy wzrok zatapiał w nią przez chwilę i śmiał się głośno, serdecznie, z całej piersi. Poczem zaczął całować dziewczynkę w usta, oczy, włosy i mówić przytem nie wiedzieć co, słowa jakieś bez sensu ni związku.

— Po Romku moim! — szeptał — po biednym moim!... biorę... biorę... zobaczysz, jakim będę dla dziecka twego! Żebym ją znał, tobym wiedział, czy to maleństwo podobne do matki!... Oczy Romka i moje, bo my z sobą byliśmy podobni!... Dziaduniu! oho! dziaduniu! dam ja tobie małą za to, że mię starym dziadem robisz!... Co? możeś się zlekła?... o! ty robaczku! promyku łaski Bożej, spadły na ciemną drogę moją!

Tak, cisnąc małą do piersi, z wielkim wybuchem głosu zawołał:

— Jedyna moja!

Takiem było zainstalowanie się Otockiego w hotelu Wszech Krajów. Małą Lusię przecież gdzieś ułokował; niepodobna bowiem było, aby dziewczynka mieszkać mogła w hotelu, w oszklonej i wiecznie mrocznej izdebce dziadka Szwaјeara.

Kobieta, która przyprowadziła Lusię do dziadka i w krótkiej rozmowie umówiła się z nim, że za

oznaczoną małą opłatę utrzymywać ją i hodować w domu swoim będzie, była panią Anielą Marcellową Ryżyńską, żoną kancelisty, pracującego w jednym z biur rządowych, a za pracę swą otrzymującego w dwudziestym dniu każdego miesiąca rubli srebrem dwadzieścia.

Średniego wzrostu i silnej budowy ciała, nie odznaczającej się zbytnią niezgrabnością, ani też żadnym szczególnym wdziękiem, w skromnej czarnej sukni, przez oszczędność zapewne przywazkiej i przykrótkiej, w futerku, z wytartem nieco pokryciem i zrudziałym kołnierzem, w kapeluszu czarnym, oprócz czarnej też woalki, nieposiadającym cienia ozdób żadnych, pani Aniela przebiegała często ulice ludnego miasta, przez nikogo nie spostrzegana, bo najmniejszą cechą wyłączości jakiejkolwiek uwagi niezyjej na siebie nie zwracająca. Aby zwrócić na siebie uwagę ludzką, musiałaby ona chyba gwałtownie komu w drogę wleźć, albo z okna trzeciego piętra na ulicę spaść, albo być przejechaną. Inaczej nikt wyróżnić nie mógł skromnej tej, niepięknej, ubogiej, a zawsze czegoś śpieszącej się śmiertelniczki, z pomiędzy tłumu śmiertelników, zupełnie podobnymi cechami obdarzonych. Jednak ktoby chciał i umiał spostrzegać, ten w powierzchowności jej spostrzedz mógł cechy pewne, jej tylko właściwe, i nawet chwili zastanowienia godne. Twarz jej była okrągła, pełna i silnie rumiana, co czyniło ją młodszą, niż była istotnie; miała bowiem lat trzydzieści kilka, a dwudziesto-letni koloryt cery. Lecz na tle właśnie zdrowych i silnych rumieńców tych, w szczególny sposób uderzały wzrok patrzącego

trzy głębokie bruzdy, poprzecznie przerzynające czoło, i rój drobnych zmarszczek, które w różnych kierunkach okalały oczy. Sprzeczność to była, która na twarz tę kładła dwa różne piętna: zdrowia i życia z jednej strony, z drugiej cierpienia. Cierpienie zaś znajdowało się w tej odmianie swojej, która nosi nazwę—troski. Nie był to żaden ból serdeczny, ani żadna tęsknota, ani żaden subtelny jad goryczy lub zwątpienia; była to troska powszednia, pozioma, lecz dawna snadź i nieustanna. Troska ta też sprawiała, że oczy pani Anieli, błękitne jak niebo i rzekłbyś, na to tylko stworzone, aby wznosić się ku niebieskim wysokościom, dziwnie były ruchliwe i niepokojne. Jeżeli prawdą jest, że dusze ludzkie przemawiają przez oczy, to dusza pani Anieli wołała ciągle: „o! jakże mi pilno! jakże wiele mam do zrobienia! co ja pocznę! jak ja sobie poradzę!“ A gdy takie wykrzyki wydobywały się z duszy jej przez błękitne, niespokojne oczy, usta jej, niezbyt kształtne, uśmiechały się do ludzi, z którymi rozmawiała, uśmiechem zhyt szerokim, lecz w którym ukazywały się dwa rzędy białych jak perły zębów. Czasem, gdy uśmiechała się w ten sposób, nie wiedzieć dlaczego, w tejże chwili do oczu jej nabiegały łzy. Miałaby rozstrojone nerwy, lub może taki na dnie serca gruby pokład smutku, że z niego co chwila, bez jej o tem wiedzy, podnosiła się wilgotna para i na mgnienie oka okrywała źrenice jej szklistą obłoną? Niewiadomo. I o tem również wspomnieć warto, że ręce pani Anieli były czerwieńsze od jej twarzy, zgrubiałe, spracowane, wyraźnie znamionujące bardzo rozległe a ciągle stosunki z rondlami, balia,

miotłą, igłą. Ręk tych nie okrywał nigdy żaden cień rękawiczek, ani w mrozy, ani w niedzielę.

Tak wyglądała kobieta, która, małą Lusię prowadząc za rękę, wraz z nią przebyła parę ludnych ulic, weszła w głęboką, sklepioną bramę bardzo starej i bardzo wysokiej, na żółty kolor pomalowanej, kamienicy i wspinać się zaczęła na wąskie, źle oświetlone, brudne wschody. Długa to była wędrowka. Na pierwsze i na drugie piętro wbiegły obie szybko i z łatwością; przebywając trzecie, kobieta zwołniła kroku; u początku czwartego dziecko stanęło, zdyszane i zarumienione od zmęczenia.

— Co? już zmęczyłaś się! — zaśmiała się pani Aniela — nie bardzo widać silną jesteś... mój Julek, jak był w twoim wieku, to dwieście razy na dzień wlatywał na te same schody i zlatywał z nich. Chcesz odpocząć? E! niema czasu odpoczywać! moi tam gdzieś bez obiadu siedzą...

Schyliła się, pochwyciła dziewczynkę w ramiona i z ciężarem tym przebywszy jeszcze zetrzydzieści stopni, stanęła przededrzwiami, których liczne szczeliny zapelnione były pakulą i obite skrawkami sukna. Zasapana, czerwieńsza jeszcze niż zwykle, postawiła dziecko na ziemi i weszła do mieszkania, wołając na idącą za nią dziewczynkę:

— Chodź, chodź, chodź, chodź!

Wolanie to było pieszczotliwe i wesołe.

Przez malutką kuchenkę, w której nie było w tej chwili ognia, weszły do pokoiku, o ścianach pomalowanych na brzydki żółty kolor, z trochę starych i bardzo tanich mebli i jednym oknem, wychodzącym na ulicę, a raczej wznoszącym się nad nią

o całą wysokość czterech pięt. Tu pani Aniela zdjęła kapelusz, z pod którego ukazały się bujne włosy płowo rudego koloru, gładko nad czołem przyczesane, a z tyłu głowy w jeden wielki warkocz zwinęte i, schyliwszy się ku Lusi, rozebrała ją z szarej i niedosć ciepłej zimowej odzieży. Czyniąc to, rzuciła pytanie:

— Dawno tu już jesteś, Marceli?

Siedzący u okna mężczyzna odpowiedział:

— Jak zwykle... wyszedłem z biura punkt o trzeciej.

Schylona wciąż nad dziewczynką, starannie zawiązując na szyi jej ciepłą chusteczkę, zapytała jeszcze:

— Czy bardzo jesteś głodny?

— Ej nie—odpowiedział—tylko myślę, że nie będę już miał czasu zasnąć trochę przed pójściem do biura.

— Oho!—zawołała, prostując się—jeszcze czego! żebyś i tego nawet odpoczynku nie miał! Spóźniłam się dziś z obiadem, to prawda... trzebaż było temu biedakowi wnuczkę pokazać, ale to nie! zaraz nakryję i podam! szach mach! zjesz i zaśniesz jeszcze sobie. Julek! Julek!

Na ten ostatni wykrzyk z przyległej izdebki wyszedł chłopak w gimnazjalnym mundurku, niewiele więcej nad lat dziesięć mieć mogący, z podartą książką w ręce.

— Patrzaj!—rzekła do niego pani Aniela—oto panna Ludwika Otocka, wnuczka pana Andrzeja, który tu u nas bywa. Nazywa się Lusią. Dziś zrana, kiedyś był w szkole, przyjechała ze wsi. Mieszkać

będzie u nas. Proszę być dla niej grzecznym, zabrać i pomódz, aby rozgościła się w domu.

Stanowczym i urywanym tonem dowódecy rozkazy te wydawszy, zakrzętnęła się około nakrywania do obiadu małego stołu. Robiła wszystko z nadzwyczajnym pośpiechem i zajęciem, możnaby powiedzieć z zapalem. Obiad, składający się z rosółu i kawałka gotowanego mięsa, stał gotowy w kuchennym piecyku. Przyniosła go w wyszczerbionej wazie, którą na stole postawiwszy, ukrajała cztery porcje razowego chleba, rozdzieliła mięso na cztery części i zawołała:

— Proszę na obiad!

Mężczyzna, siedzący dotąd pod oknem, wstał i powoli zbliżył się do stołu. Był to człowiek, wyglądający na lat czterdzieści, średniego wzrostu, szczupły, z długą bladą twarzą, otoczoną krótko przyszyrżonymi włosami i pozbawioną wszelkiego zarostu. Twarz ta, polyskująca od niezmiernie starannego wygolenia, uderzała sztywnością rysów i wyrazu. Piwne, głęboko osadzone oczy jego, przesuwające się z przedmiotu na przedmiot leniwie i obojętnie, wąskie i blade wargi obu kątami zwisały w dół, co nadawało im wyraz niemej goryczy i wytwarzało na policzkach dwie głębokie i suche fałdy.

Z tą martwością i suchością powierzchowności całej w szczególny sposób sprzeczała się cheiwość, z jaką pan Marceli zabrał się do jedzenia. Jadł prędko i łakomie, a jednak niewiele, bo wkrótce odsunął od siebie talerz, na którym znajdowało się jeszcze sporo zupy i mięsa. Znać w nim było człowieka zgłodzonego, lecz któremu niezdrowie i zmę-

czenie pozwalało lada okruszyną głód zaspokoić. Pani Aniela podniosła twarz z nad talerza i niespokojnie na męża spojrzała.

— Dlaczego przestałeś jeść, Marceli? — zapytała. — Mój Boże! jakże można jeść tak mało, pracując tak wiele! Czy ci nie smakuje? Czy może... nieprzyjemność jaką dziś miałeś?...

Ryżyński uczynił powolny ruch ręką.

— Co tam! — rzekł — ile chcę, tyle jem, więcej nie chcę.

Mówił suchym i przytłumionym głosem. Pani Aniela patrzała na niego coraz niespokojniej.

— Cóż? — zaczęła — pewnie znowu *ten* powódział ci co przykrego? Może ci więcej jeszcze, niż zawsze, roboty nadawali? Miałeś nieprzyjemność jakąś... już ja to widzę...

Energiczniej nieco, niż przedtem, Ryżyński zaprzeczył.

— Ej nie! nie dziś nie stało się nowego. Po co masz martwić się daremnie! jak wczoraj, tak dziś, tak jutro... Co było, to jest, a co jest, to będzie!... i koniec.

— No, ^{no}! — uspokojona już nieco, odrzekła pani Aniela — żeby tylko gorzej nie było... żeby nie gorzej...

— Otóż to! — dokończył Ryżyński, a gdy wymawiał krótki ten wyraz, kąty ust jego drgnęły, a w głębi leniwych i ostygłych źrenic zamigotało smutne i trwożne światelko.

Do tych kilku zamienionych słów ograniczała się cała przyobiednia rozmowa. Luscia i Julek nie

mówili: nie, tylko od chwili do chwili ciekawie spoglądali na siebie.

Ze zwykłą szybkością i energią ruchów, pani Aniela wstała od stołu i, podjąwszy wysoko, a białym fartuchem starannie osłoniwszy czarną swą suknię, gorliwie zajęła się w kuchence myciem i wycieraniem talerzy, garnków i rondli; pan Marceli zaś powoli wysunął się do przyległego pokoiku, gdzie zdjął surdut z pozłaczanymi guzikami, włożył natomiast szlafrok, spuścił u okna płócienną roletę, i położył się na jednym z dwóch łóżek, wypełniających sobą cały prawie pokoi. Po chwili usypiał już głęboko, a delikatny, zmięty profil twarzy jego, żółtawą bladością odbijający od białych poduszek, wydawał się we śnie bardziej jeszcze zmęczonym i martwym. Pani Aniela szybko i na palcach przebiegła bawialną izdebkę, cichutko przymknęła drzwi sypialnego pokoju i, zwracając się ku dzieciom z palcem do ust przyłożonym, szepnęła:

— Cicho dzieci! cicho! nie obudźcie go czasem.

Potem przez czas jakiś jeszcze brząkała w kuchence talerzami i garnkami, przysiadłszy na ziemi, czyściła kredą samowar; narzuciwszy chustkę na głowę i plecy, wybiegła z mieszkania i wróciła wkrótce z dzbankiem pełnym wody w jednej ręce, a koszyczkiem z bułkami w drugiej; samowar wyczyszczywszy, dzbanek z wodą i bułki umieściła na stojącym u okna tapczanie, odetchnęła głęboko, przymknęła powieki, i w mgnieniu oka, z głową wspartą o twardy skraj okna, usnęła. Był to widocznie sen na pręde, ogarniający ją nieprzecieżenie, sen, któremu uległa bez namysłu i pomi-

mo woli. Za poduszkę służył jej zwinięty z tyłu warkocz.

W małym mieszkanku, w tem gnieździe ubogiem i tak wysoko wzniesionem, iż zdawało się ono być bliższem chmurnego nieba, niż błotnistej ziemi, zapanowała wtedy cisza głęboka. Ciszę tę mącił tylko monotony, głośny oddech dwojga uspiionych ludzi, chrapliwy tentent wiszącego na ścianie zegara, z bukietem róż na starym obliczu, albo kędyś w dole, w głębokim dole, toczący się, do grzmotu głuchego podobny, turkot, lub przeciągłym jękiem strzelający w górę oderwany dźwięk katarynki. W ciszy tej, na dwóch wysokich krzesłach, spłowiła perkalem obitych, siedzieli u okna Julek i Lusja, milcząc i z kolei patrząc to na siebie, to na okno, powlekające się zwolna szarą zasloną zmroku. Chłopiec był ładny, smukły, z bladawą, ściągłą twarzą, okrytą wyrazem znużenia i niezadowolonia, właściwym mu snadź, a zwiększonym przez to, że gęste, ciemne włosy jego, były w szczególności sposób rozczochrane; nieład zaś ten, w uczesaniu jego zachodzący, zwiększał on jeszcze co chwila niecierpliwemi i znużeniem wyrażającemi gestami. Dziewczynka, przeciwnie, zachowywała się bardzo spokojnie. Miała ona włosy jasne, jak len, a oczy duże, ciemne, z czarną brwią i rzęsą. W oczach i w zarysie bladawych ust wnuczki szwajcarki spoczywała dziwna w jej wieku zaduma. Nie była strwożoną znalezieniem się wśród miejsc i osób obcych; zdawało się tylko, że myślała nad czemś chmurnie a spokojnie.

Chłopiec pierwszy przerwał milczenie.

— Cóż? — zapytał — ze wsi przyjechałaś? co tam na wsi? Jak to wygląda?

— Alboż sam nie widziałeś? — odpowiedziała z ciechą, lecz śmiało.

— Żebyś widział, tobym nie pytał. Com ja widział? Żółte ściany i koniec. Czy i na wsi są takie żółte ściany?

Tu rzucił ręką, wskazując brzydkie, monotonne, żółte, jak ośrodek jaja, ściany rodzicielskiej bawialni.

Dziewczynka spojrzała dokoła i odrzekła:

— Nie! Takich ścian tam niema.

— A coż jest?

Z powagą i z niezmaconym spokojem wyliczać zaczęła:

— Drzewa, takie zielone... ptaki, kwiaty, żyto, kury, indyki takie wielkie, koty... wszystko!

— Patrz! patrz! — rzekł Julek — to tam dużo ładnych i ciekawych jest rzeczy! Szczęśliwa jesteś, żeś to wszystko widziała.

Dziewczynka wymówiła krótkim i dziwnie suchym tonem:

— Nie!

— Co? nie? — zapytał Julek.

— Ja nie jestem szczęśliwa! — odpowiedziała.

— A dlaczegoż-to? Przecież do klas nie chodzisz i na takie żółte ściany od urodzenia swego, tak jak ja, nie patrzałaś! To i czemu nie jesteś szczęśliwa?

— Ot, zwyczajnie — rzekła — sierota i koniec...

— No! matki i ojca nie masz, już słyszałem o tem. Z dziadkiem dziś się poznałaś i zdaje się,

że niewielką będziesz miała z niego pociechę. Stary będzie na ciebie pewno gderał. Ale zawsze... czemuś nie była szczęśliwą? Czy źle obchodzili się z tobą?

— Nie!—odpowiedziała ze zwykłym spokojem.

— No, to cóż?

— Nie... tak jakoś...—szepnęła.

— Cóż to znaczy: tak jakoś?

Wzruszyła zwolna ramionami.

— Czy ja wiem? Wszyscy poumierali, wszyscy cudzy, nikt nie pokochał nigdy, nikt nie pożałował i... koniec.

— El!—rzekł Julek—kaprysisz! Co ci tam z tego! Ot, mnie bieda i bieda! odkąd urodziłem się zawsze to samo i to samo. Ojciec będę klepie, matka będę klepie, i ja klepać muszę.

— A czemuż to tak?—zapytała Lusja.

— Ot, czemu? Wiadomo. Ojciec jest urzędnikiem kancelistą, dwadzieścia rubli na miesiąc bierze, a wiesz ty, że to wielka bieda. Ale toby jeszcze nie, gdyby jaka nadzieja była, że człowiekowi lepiej kiedy będzie. Gdzie tam! Czy ty wiesz, że gdyby ojciec gwiazdy z nieba zdejmował, gdyby zapracował się na śmierć, toby nie z tego nie przybyło. Co było, to jest, co jest, to będzie...

Lusja przerwała:

— Twój tatko tak przy obiedzie mówił...

— A mówił. On to zawsze mówi, i ja nauczyłem się mówić. Żółte ściany były, żółte ściany są i żółte ściany będą.

Przy tych słowach, obie ręce podniósł ku głowie i do niepodobieństwa zezochrał swe włosy, przy-

czem pełne nienawiści spojrzenia rzucał na ściany bawialnej izdebki, do których wyraźnie uczuwał głęboką i niemilknącą nigdy antypatyę.

— A dlaczegoż to tak?—zapytała znowu Lusja.

— Albo ja wiem?—odpowiedział—albo mnie kiedy ktokolwiek co wytłómaczy? rozpowie?...gdzie tam! Ojca nigdy w domu niema, a jak przyjdzie, to taki zmęczony, że tylko zje i spać idzie; mama zawsze zajęta i, jak się o co spytam, to mówi, że czasu niema, albo, że sama nie wie... bo pewno nie wie. Ja chciałbym o wielu rzeczach wiedzieć: co to? jak to? po co? z kąd? ale dowiedzieć się ani sposobu. Nuda tylko, bieda i po wszystkim.

— I koniec!—zawtórowała Lusja.

W czasie, gdy Julek wynurzał przed nią dolegliwości swe w sposób, świadczący o wczesnej dojrzałości, a może i o wczesnem nadwiednięciu dziecięcej jego istoty, ona myślała zapewne o własnych przebytych biedach i, jak mała papużka, zmieniająca tylko ton podanego sobie wyrazu, wymówiła:

— I koniec!

Jakby dla rozweselenia biadającej tej u szarego okna pary malutkich ludzi, nad zdobny w bukiet z róż cyferblat starego zegara wyskoczył szary ptak sporej wielkości, i z łoskotem uderzając blaszanemi skrzydłami w ciszę i zmrok, napelniające pokoiki, rzucił pięć razy powtórzony okrzyk:

— Kuku! kuku!

Stary zegar posiadał nietylko wesoly bukiet róż, ale weselszą od niego kukulkę, która co godzina przyzywała pomiędzy żółte ściany, te śmier-

telne nieprzyjaciółki Julka, świetlaną wiosnę, tę dotychczasową serdeczną przyjaciółkę Lusi. To też po raz pierwszy odkąd tu weszła, dziewczynka uczyniła ruch żywy i prawdziwie dziecięcy. Zerwała się z krzesła, klasnęła w dłonie i z głośnym okrzykiem:

— Kukawka! kukawka!

Rzuciła się ku zegarowi, wyciągając do niego obie ręce. Niestety! czarowne zjawisko, po wygłoszeniu piątej z południa godziny, zapadło szybko w niewidzialne głębie zegara; Lusie w mgnieniu oka też ochłonęła z doświadczonego wrażenia i, poważna znowu, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni, usiadła na uprzednim miejscu.

W kuchence, zbudzona przez kukulkę i wykrzyk Lusi, pani Aniela zerwała się z tapczana, przełęknioma tem, że spała tak długo i zagarniając obiema dłońmi rozrzucony we śnie warkocz, a przecierając senne jeszcze oczy, zawołała:

— Julku, czy ojciec śpi jeszcze? Julku! samowar nastaw! prędzej tylko! Mój Boże, jakżem ja zasnęła! Ojciec już nie będzie miał czasu, przed wyjściem do biura, porządnie wypić herbaty!

Żywa bardzo, choć ciężka nieco, z wyrazem niepokoju i zakłopotania na czerwieńszej, niż kiedy, twarzy, przebiegła bawialnię, wszedłszy do sypialnego pokoiku, na palcach, z ostrożnością niezmierną, zbliżyła się do łóżka, na którym snem kamiennym usypiał Marceli, i dłoń swą na czole jego położyła. Rzecz szczególna! ręka jej zgrubiała, ciężka, powleczone skórą czerwoną i szorstką, dziwnie miętko, łagodnie, pieścizotliwie nawet, spoczęła na bladym, suchym i mnóstwem drobnych zmarszczek okrytem

czole mężczyzny. Być może, iż dobroczynne złudzenie sprawiło, że cofnął się on w tej półsennej chwili ku najmłodszym swym latom, że zdało mu się, iż w ojcowskiej zagrodzie czoła jego dotyka młoda gałązka brzozy, lub skrzydło białego motyla, bo otworzył oczy, pełne blasku i życia, a kąty ust jego podniosły się i zarysowały uśmiech wesół. Z tym wyrazem na twarzy pan Marceli wydawał się innym wcale, niż zwykle, człowiekiem. Można by powiedzieć, że istotna natura jego na mgnienie oka wyjrzała z za maski, którą szczelnie, szczelnie przykleił do niej los. Trwało to przecież krótko.

— Piąta już była, Marceli; za pół godziny... do biura—rzekła pani Aniela—a jakkolwiek mówiła to cichym głosem i z tym uśmiechem, który u niej, pośród warg zbyt szerokich, grubych, odsłaniał dwa rzędy zębów, pięknych, jak perły; jakkolwiek, mówiąc to, przesuwiała dłoń swą po włosach jego, ruchem matki raczej, niż żony, lub kochanki, na twarz pana Marcelego spadła znowu maska sztywna, sucha, pomarszczona na czole, a na policzkach od starannego wygolienia lśniąca. Obie splecione dłonie położył na głowie, szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał przez chwilę, całą postawą swoją i całym wyrazem twarzy zdając się bezustannie, monotonna powtarzać:

— Co było, to jest, co jest, to będzie!

Mniej, niż w godzinę potem, po wypiciu herbaty, do której pani Aniela podała chleb razowy, bułki i mleko, pan Marceli włożył na siebie surdut swój z pozłacanymi guzikami i zielonym aksamitnym

kołnierzem, a wzięwszy w rękę czapkę, na której mdło świeciła srebrna gwiazdka, zwrócił się do Julka.

— Jakże tam idzie ci w szkołach? — zapytał.

— Jak zwykle, ojeże! — odparł chłopak — dobrze jakoś!

— Dobrze? to dzięki Bogu! — rzekł kancelista — i chudą, bladą ręką swą przeciągnął parę razy po główce dziecka.

— Ucz się, ucz się! — dodał.

Otworzył usta, jakby do tej lakonicznej rady, czy nauki, coś jeszcze dodać pragnął. Lecz bądź to przez odzwyczajenie się od mówienia, bądź przez pośpiech, bądź, że myśli, które miał w głowie, mąciły się w skutek rzadkiego porządkowania ich i wyrażania, nie powiedział nic więcej, tylko, powtarzając wyraz: — ucz się, ucz się — mieszkanie opuścił.

Po odejściu męża, pani Aniela znowu przez czas jakiś brząkała w kuchence naczyniem, które myła i porządkowała; poczem przyniosła do bawialnej izdebki kosz z bielizną i, usiadłszy przy małej lampie, zabrała się do szycia i naprawiania mężowskiej, synowskiej, a może i swojej odzieży. Przed rozpoczęciem jednak roboty swej, spojrzała przez ramię na syna, i krótkim, rozkazującym głosem do wódecy, jakim zwykła była przemawiać, zawołała:

— Julek! ucz się!

Chłopak wziął kilka podartych książeczek i, usiadłszy przy macezynej lampce, gorliwie, półgłosem uczyć się zaczął. Lusja siedziała na swem wysokim krześle, przy oknie, w uprzedniej postawie, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni. Zamyślonym swym, chmurnym nieco wzrokiem, patrzała ona na

żółte ściany, niby czarną podartą krepą osnute lekkimi cieniami, na mosiężne wahadło zegara, które, jak złota iskra, miarowo błyskało to z jednej strony dwu grubych czarnych sznurów, to z drugiej, na kółko świetlane, które prostopadłe nad lampką, pośród sufitu, naśladowało białą tarczę miesiąca, na panią Anielę nakoniec, która w kilka chwil po wzięciu do rąk roboty, tak w niej całą duszę swą utopiła, iż zniknęła ona całkiem z jej twarzy. Ze zmarszczonem czołem i przygarbionemi plecami, z oddechemi wargami i okiem szklistem, w którym nie było śladu żadnej myśli, kobieta szyła, cerowała, latała, od czasu do czasu tylko wdychając ze zmęczenia, czysto mechanicznie, albo z zakłopotaniem kręcąc głową, gdy dwa kawałki płótna zejsć się z sobą nie chciały, albo dziura jakaś była tak wielką, że zasnucie jej niemi przedstawiało niezwykle trudności. Parę razy, w celu poprawienia warkocza, który osunął się i grubym, złotym węzłem, spłynął na przygarbione jej plecy, podniosła głowę i zawołała:

— Julek! ucz się!

Julek prostował się, a głos jego, który był przycichł na chwilę, znowu brzmieć zaczynał w cichej izdebce, podobny do monotonnego brzęczenia pszczoły. O Lusi pani Aniela zdawała się zapominać. Dziewczynka nie zbliżała się do niej, ani ona jej nie przyzywała ku sobie i wtedy dopiero, kiedy kukawka, załopotawszy skrzydłami nad cyferblatem zegara razy dziesięć, z niedoścignionej zda się oddali, przywołała wiosnę, zieleń i wesołość, pani Aniela zerwała się z siedzenia, pośpiesznie do kosza złożyła robotę i zawołała:

— Dzieci! spać!

I zaczęła słać pościel, naprzód na dwóch łóżkach w sypialni, potem na kanapie w bawialnej izdebce, i na tapczanie w kuchence.

W kilka chwil później zajęta już była czyszczeniem skromnej sukienki Lusi i owijaniem w małe papierki posrebrzanych guzików u mundurka syna, ażeby nie niszczyły się przez noc.

— Julek! zmów pacierz!—zawołała.

Chłopak upadł na kolana przed tapczanikiem swym z takim zniecierpliwieniem, że aż zatrzęsła się podłoga kuchenki.

— A ty, moje dziecko? czy umiesz pacierz?

— Umiem!—odpowiedziała Lusja.

— No! to zmówże go zaraz.

I dziewczynka uklękła także przed wysoką, rozłożystą kanapą, spłotła u piersi małe ręce, a czarne, zamyślane oczy wzniosła wysoko, tam, kędy żółta ściana łączyła się z opylonym sufitem. I dziwna rzecz! teraz dopiero kilka drgnień nerwowych przebiegło drobne, piękne jej rysy, i strumień łez popłynął z oczu. Był to przecież płacz cichy, tak cichy, że pani Aniela ani dosłyszała go, ani spostrzegła, tem bardziej, że, usłyszawszy na schodach męskie kroki, otwierała z pośpiechem drzwi mieszkania, aby na godzinę przed północą wracający z biura mąż jej, ani chwili nie czekał przededrzwiami. Troskliwość ta zbyteczną nie była. Pan Marcelli bywał w porze tej więcej, niż kiedy, zmęczonym i zmartwiałym. I nie dziw! Do sześciu godzin dziennych, spędzanych nad machinalnem przepisywaniem urzędowych papierów, dodał on jeszcze pięć wie-

czornych i, jakkolwiek pracował tylko rękoma, głowę miał ciężką, cenną i znużoną. Rzecz to jest zresztą pospolita i zwykła, że wśród pracujących ludzi ci miewają wieczorem najciężej senne i znużone głowy, którzy głowami nie pracują wcale...

Małżonkowie nie powitali się pocałunkami, ani głośną rozmową, tylko pani Aniela uśmiechnęła się do męża zwykłym sobie uśmiechem, szerokim, lecz świeżym; on zaś, na odpowiedź, suchą swą, bladą dłonią pogłaskał z lekka złoty jej warkocz.

— Idź-że! rozbieraj się — rzekła — a ja zaraz przyjdę z gazetą.

Z gazetą! co ich znowu obchodzić mogły gazety, owe posłanniczki dalekich światów, opowiadające o przestrzeniach szerokich, wypadkach wielkich, ludziach sławnych, nadziejach i trwogach ogromnej ludzkości, ich, którzy żyli w ciasnym żółtem gnieździe, pod samem prawie niebem umieszczonem, wśród drobiazgów i pospolitości ubogiego bytu? ich, nieznanych nikomu i wzajem nie prawie nieznających! Obchodziły one jednak pana Marcelego bardzo gorąco, i musiało to być zamiłowanie wielkie, skoro i on i pani Aniela decydowali się corocznie na wielki dla nich wydatek prenumerowania gazety. Decydowali się jednak i jedyne te, znajdujące się w domu ich, druki, (oprócz książek do nauki Julka), zamknięte w szufladzie komody, zostawały, jak wszystko zresztą w domu, pod pilną strażą pani Anieli. Z gazetą tedy w ręku, pani Aniela weszła do sypialnego pokoiku i, usiadłszy pomiędzy dwoma łózkami, głośno czytać zaczęła o dokonywających się we Francyi wyborach do parlamentu, o rozpra-

wach w austriackiej Radzie państwa, o angielskich wigach, irlandzkich Fenianach, Kedywie egipskim, Szachu perskim, o Afganistanie, Abisynii, Meksyku, Rzeczypospolitej Argentyńskiej i t. p. Z całego usposobienia pani Anieli z łatwością wniesć było można, że wszystkie Rady i parlamenty, i wszyscy kanclerze państw wszystkich, że wszyscy Kedywi, Emirowie i wszystkie formy rządów, i plany dyplomacyi, stanowiły dla niej tylko chaos imion i wyrazów, obojętny, nudny, niezrozumiały, i ochoty do zrozumienia niebudzący. Była bardzo zmęczona dniem przepracowanym, była też znudzona czytaniem śmiertelnie; lecz najbystrzejsze oko daremnie by w całej powierzchowności jej szukało najłżejszego objawu zmęczenia i znudzenia. Czytała głośno, równo, wyraźnie, uśmiechniętymi usty; a kiedy poziewanie dławić ją zaczynało w sposób nieprzewybieżony i powieki opadały na oczy tak ciężko, jakby były przepojone ołowiem, z nad wielkiego arkusza gazety, rzuciła parę szybkich spojrzeń na męża... Pan Marceli, leżąc na wznak i paląc cygaro, wydawał się skąpanym w jakichś życiodawczych, odnawiających wodach. Oczy jego błyszczały, twarz mieniła się grą uczuć różnych: zadowolenia, zmartwienia, wesołości, obawy.—Niekiedy z energicznymi gestami wydawał głośne okrzyki.

— A niech że go! tego Bismarcka!—wołał—zawsze wynajdzie on sposób jaki, aby postawić na swoim!

Albo z szerokim, serdecznym śmiechem:

— Liberalni zwyciężyli! tegom się spodziewa!

O! nie zduszą ich już we Francyi, nie zdławia! Ot kraj... niebo!..

To znowu, zamyślając się, poważnie mówił:

— Ktoby się to mógł spodziewać, aby systemat federacyjny raz jeszcze upadł w Austrii! Czy oni nie widzą, że jest to dla państwa jedyna deska zbawienia!

Bawił się pan Marceli w czasie czytania tego, myślał, kombinował, przebywał cały szereg wrażeń, żył. Pani Aniela bohatersko przewyciężała senność, nudę, zmęczenie, i od czasu do czasu rzucając spojrzenia na rozgrzatego i ożywionego męża—czytała... Kiedy skończyła czytać, pan Marceli, topiąc w twarzy jej długie spojrzenie—rzekł:

— Zamęczasz się, Anielko, dla mnie, tem czytaniem...

Wybuchnęła śmiechem.

— Ot, śmieszna rzecz!—zawołała.—Nie mogę nigdy oduczyć cię od tego: zamęczasz się! zamęczasz się dla mnie tem czytaniem! Żebyś ja ci zaczęła klektać codzień nad głową: zamęczasz się, Marceli, zamęczasz się dla mnie i dla dziecka tem pisanem w biurze! miło by ci było? Co trzeba, to trzeba. Każdy robi, co do niego należy, i koniec. Przecież ta gazeta, to twój klub, twoje spacerki, twoje wszystkie wesołości i rozrywki. Chwała Bogu, że ją tak lubisz!...

Jakby sobie co przypominała, sięgnęła do kieszeni, wyjęła, z niej dużą miedzianą dziesiątkę i, pokazując ją mężowi, rzekła:

— Zostało od dzisiejszego obiadu... czy wrzucić?...

Zapytanie to było-by wielce zagadkowym, gdyby, czyniąc je, pani Aniela nie wskazała gestem sporego pudełka, przybitego do ściany i, jak to bywa we wszelkiego rodzaju skarbonkach, zaopatrzonego w wązki otwór do wrzucania pieniędzy. Do zielonej powierzchni pudełka przyklejoną była biała kartka, a na niej, pismem pana Marcelego, tem samem bujnym, pięknym pismem, którem przez 11 godzin dziennie nappełniał on arkusze aktów i dokumentów biurowych, nakreślone były wyrazy:

— „Dla Julka na uniwersytet”.

Trzymając miedzianą dziesiątkę w dwu palcach, pani Aniela powtórzyła pytanie:

— Wrzucić?

— Dziś mamy trzynasty—z rozwagą zaczął pan Marcelli—dwudziesty za tydzień. Za mleko i bułki zapłaciłaś?...

— Wczoraj! co do grosza!

— Wrzuć! — wyrzekł mąż.

Miedziany pieniądz zniknął we wnętrzu skarbonki, a pani Aniela, rozpinając suknię, rzekła:

— Ciekawam, ile już tam być może?

Po chwili zaczęła znowu:

— Uczy się doskonale, jest drugim uczniem w klasie; a wczoraj mówił mi, że gdyby tam nie wiem co, na przyszły rok musi być pierwszym...

Szeptem, do głębokiego westchnienia podobnym, pan Marcelli odpowiedział:

— Dzięki Bogu!...

A gdy pani Aniela zdmuchnęła lampkę, w ciemności zaczął jeszcze:

— Żeby nie ty i nie Julek...

Nie dokończył, bo w tejże chwili pani Aniela, czarodziejską niby mocą jakąś uśpioną, zachrapała przeciągle i głośno.

W taki to sposób płynęło życie Ryżyńskich, a wszystkie dni były tak zupełnie do siebie podobne, jak na jeden sznur znizane, doskonale dobrane paciorki. Zrana pani Aniela była bardziej jeszcze zajęta, niż wieczorem. Pała sama w piecach, chodziła do miasta po sprawunki, zamiatała pokoiki, na koniec gotowała obiad, a doglądając sporządzanych potraw, szyla, prała, prasowała... Trudno było powiedzieć na pewno, czy spełniając wszystkie czynności te, które zazwyczaj spełnia osób kilka, wesółą była, czy smutną; bo trzy owe głębokie fałdy, przeryniającej jej czoło, sprzeczały się zawsze ze świetną świeżością jej cery, a szczególnie z ustami, tak skoremi do uśmiechu, że spotykała z nim każdego, ktokolwiek zjawiał się na progu kuchenki.

Małe zmiany w trybie tym życia zachodziły tylko w niedzielę i dni świąteczne; w dni te bowiem pan Marcelli, wolny od zajęć biurowych, sypiał długo, a spędziwszy ranek w jednej z miejskich cukierni, gdzie dla odmiany czytywał gazetę inną, niż ta, którą miał w domu, wieczorem siedł do któregoś kolegów swych na preferans. Preferans, po dziesiątej części grosza punkt, nie trwał nigdy dłużej, jak do północy; pan Marcelli jednak, wróciwszy do domu, przeciągał się, poziewał i mówił do żony:

— O, jakżem się znudził i zmęczył.

Jednakże w niedzielę następną grał znowu, z razu z ochotą i ożywieniem, rad jakby urozmai-

ceniu, jakie gra wlewała w monotonność jego życia; obojętnie potem i ze znużeniem, tak, jak-by uczuwał całą nicość i pustkę urozmaicenia tego. I znowu, w każdą sobotę, po przeczytaniu gazety, zabierając się do snu, głosem, który odbrzmiewał zadowoleniem, mówił do żony:

— Jutro pójdę na preferansa.

Kiedys, kiedys, pan Marcelli czytywał w wieczory świąteczne pożyczane tu i owdzie książki, albo, małego syna biorąc na kolana, próbował prowadzić z nim długie a pouczające rozmowy. Lecz do rozrywek umysłowych, zarówno jak do pedagogicznych rozmów, przystępować trzeba niezbędną z pewną stosowną wprawą i, nadewszystko, z pewną swobodą umysłu, których pan Marcelli nie posiadał.

Nie posiadał on swobody umysłu, pośród wielu przyczyn różnych i dla tej jeszcze przyczyny, że wraz z rodziną swą stał na ruchomym gruncie, co, na lada skinienie któregośkolwiek z pośrednich, lub bezpośrednich zwierzchników jego, roztworzyć się mógł pod nim i stracić go w czeluść, w której czarne głębie patrzeć nie mógł bez zawrotu głowy. Był on jednym z tych, do których stosować się mogą słowa ewangeliczne: „nie wiecie dnia, ani godziny...” z dodatkiem: „kiedy dachem waszym staną się lazury niebios, a chlebem—kamienie, rozrzucone po ojezystej ziemi”.

Zdarzało się, że łagodny i ludzki zwierzchnik pana Marcelego wzywany był gdzieindziej, na inną jakąś posadę, a zastąpić go miał ktoś nieznany jeszcze, mający dopiero przybyć z kądś i dać się

poznać... w jaki sposób? było to pytanie, dla mieszkańców żółtego, pod niebem zawieszonego, gniazda, równające się w wadze i sile Hamletowskiemu: być albo nie być? Człowiek ten, mający przybyć z daleka, a w którego usposobieniach spoczywała zagadka ich losu, stawał też przed ich wyobraźnią owinięty w mgłę, pełną uroczystej tajemniczości, wśród której przybierał potężną a nieubłaganą postać starożytnego Fatum. Złote hafty, zdobiące kołnierzy i rękawy jego ubrania, wyglądały jak wyroki, pisane niepodobnemi do wyczytania hieroglifami. Fatum to i te hieroglify wisiały nad ich głowami i stały przed ich wzrokiem, przez długie nieraz dni i tygodnie. Przybywał nakobiec... jutro już przybyć miał, rozpowieć się z mgieł tajemniczych, i ludzką stopę postawić na brudnej podłodze sal kancelaryjnych. Pan Marcelli wychodził do biura, a pani Aniela, odprowadzając go do połowy wschodów, zamiast zwykłego niepokoju, miała w oczach wyraz przerażenia. Idąc obok siebie, nie mówili do siebie nic i rozstawali się w milczeniu; za to, usłyszawszy kroki wracającego męża na wschodach, kobieta wypadła z mieszkania i spotykała go tak pośpiesznie, że aż zdyszanymi pytaniami:

— Cóż? cóż? widziałeś? mówił z tobą? jakież on?

Niekiedy pan Marcelli uśmiechał się blade, i z uspakającym gestem mówił:

— Nic, nic; zdaje się, że dobrze będzie!

Częściej jednak wrzusał z wolna ramionami i wymawiał:

— Kto go wie?

Znaczyło to, że potężne fatum nie raczyło jeszcze rzucić z siebie mglistej swej opony; że zatem wyrok, wypisany złotemi niemi na kołnierzu i rękawach jego ubrania, wyczytać się jeszcze nie dał. Znaczyło to, że po dniu tym nastąpić miały liczne jeszcze dnie, w których pani Aniela zbiegać będzie ze wschodów na spotkanie męża, pytając:— cóż? cóż? i w których pan Marceli, zaledwie dotknawszy obiadu, po obiedzie nie znajdzie w parogodzinym śnie odpoczynku i zapomnienia, bo sen spędzą mu z powiek trwożne światelka, błędzące w ostyglych jego żrenicach.

Trwoga ta przecież, którą Ryżyńscy uczuwali przed wypadnięciem z żółtego gniazda pod lazury niebios i pomiędzy kamienie ojczystej ziemi, była tłem tylko, usianem pomniejszych może w położeniu ich, niemniej jednak dolegliwemi niepewnościami. Były to niepewności takie, jakich zazwyczaj doświadcza człowiek, wiedzący, iż lada chwila, w osobistą godność jego, w tę zresztą, kto wie? robakom nawet może przyrzoną właściwość, jaką jest miłość własna, ugodzić może ostrze obelgi. Ludzie wogóle, a zatem i zwierzchnicy biurowi, miewają usposobienia różne, a wśród usposobień tych istnieją: kaprys, uprzedzenie, antypatya i tym podobne psychiczne objawy, którym zapobiedz niepodobna, ale które przewidywać można. Ilekroć zaś zdarza się, że ludzie wogóle, a zwierzchnicy biurowi w szczególności, folgują tym władzom, istniejącym w przyrodzeniu człowieczem, a zdarza się to dość często, ilekroć wyniknąć ztąd mogą rozmaite następstwa, z których jednym jest to, że ten

i ów wraca do domu swego tak, jak nieraz wracał pan Marceli, nie z trwożnem już światelkiem, lecz z ponurym gniewem w oczach, z piersią oddychającą ciężką, z głową, z której wichry bólu i gniewu wymiotły, aż do ostatniej, wszystkie myśli spokojne i jasne.

Kiedy pan Marceli wracał do domu w usposobieniu takim, pani Aniela zgadywała odrazu, co było. Nigdy jednak nie zapytywała go zaraz w chwili powrotu: jak to było? Po obiedzie dopiero, o szarej godzinie, widząc, że mąż nie zamierza udać się do małej sypialni na poobiedni spoczynek, siadała obok niego na rozłożystej kanapie i, przechylając głowę swą ku głowie jego, zapytywała szeptem:

— Cóż się tam stało? za co? jak?

Czasem odpowiadał jej krótkimi i niechętnymi wyrazami; częściej jednak, gdy zmrok szarą oponą przysłaniał okno, czarne cienie, nakształt podartej krepy, zalegały sufit, zegar na ścianie chrypliwym szeptem prawił swe wieczne monotonne: tak, tak! gdy z ulicy, ciągnącej się kędyś w głębokim dole, strzelały ku górze i aż tu dolatywały przeciągłe, bolesne dźwięki katarynki; w melancholijnej porze tej, w której kochankowie szepcą najmiłośniej, a poeci najrozkoszniej marzą, pan Marceli w suchą, bladą dłoń swą ujmował rękę żony i szeptać coś do niej zaczynał tak długo, jak nigdy w innych porach nie zwykł był mówić. Być może, iż wrażenia, doświadczone w dniach owych, wstrząsały istotą jego i wskrzeszały zdławioną jej energię; bo z ciężkiego szeptu jego wybijały się od chwili

do chwili, głośno wymawiane słowa gniewu, czy żalu, na które pani Aniela pragnęła snadź odpowiedzieć słowem nadziei, bo często, często wymawiała imię:

— Julek!

*

*

*

Otockiemu na posadzie szwajcara w hotelu Wszech-Krajów wiodło się wcale nieźle; można-by nawet było powodzenie jego nazwać bardzo dobrem, gdyby nie przesady pewne, głęboko w nim zakorzenione, a których przełamywanie, z początku szczególnie, wiele kosztować go musiało. Zwyczajem jest naprzykład, w całym ucywilizowanym świecie przyjętym, że goście hotelowi, w chwili odjazdu, szwajcarowi, pomagającemu im wsiadać do powozu, wsuwają w dłoń pieniędzy, mniejszej lub większej wartości, jako zapłatę za oddane im przez niego usługi. Kiedy Otockie po raz pierwszy uczuł wpadające w dłoń swą srebrne pieniążki, krew, jak ukrop, buchnęła mu do twarzy, a całą postać, zupełnie mimo woli i wiedzy, rzucił się w tył. Zmiarkował się jednak prędko, srebrne monety do kieszeni wsypał i, jedną ręką podpierając łokieć wsiadającego do powozu gościa, drugą starannie mu pod nogi futro zaścielał. Lecz, gdy wyprostował się, stał przez chwilę, jak w ziemię wryty, i tak

gwałtownie targał białego wasa, jak gdyby chciał wspaniale to przyozdobienie twarzy swej z korzeniem wyrwać. Wstręt do brania pieniędzy od hotelowych gości i do podpierania dłonią łokci ich, gdy umieszczali się w powozach, był najpewniej skutkiem przesądów, gdyż wiadomo powszechnie, że świat stoi na zamianie przysług, będącej węgielnym kamieniem, jeżeli nie porządku świata, to przynajmniej wielu, z pomiędzy zajmujących się badaniem porządku tego, teorii ekonomicznych. Otoczekmu przecież, w chwilach dla niego ciężkich, żadna z teorii ekonomicznych, ani innych, do głowy nie przychodziła.

Inny znówu przesąd, mogący zatruwać życie szwajcara, gdyby nie uporał się był z nim jako tako, ujawniał się z razu w stosunku do pana Leonida Igorowicza, który, będąc wesołym i skłonny do żartobliwości, był też nieco dumny, względem tych szczególnie, którzy tak, jak Otockie, mieli za sobą stale zapewnione dożywocie na obszernem królestwie biedy. Otockie w żaden sposób nie mógł pogodzić się z podobnem zapatrywaniem się na dostojność ludzką wogóle, a na swoją osobę w szczególności; ztąd pomiędzy nim a rządcą hotelu zachodziły z razu drobne kolizye, których wynikiem byłoby może całkowite nawet zerwanie stosunków Otockiego z hotelem, gdyby w głębi oszklonej izdebki, przed żelaznym piecykiem, nie szarżała drobna postać dziecięcia, na stołku siedząca i zziębnięte stopy rozgrzewająca przed czerwono żarzącymi się w piecyku węglami.

W gruncie rzeczy zresztą, pan Leonid Igoro-

wiecz był dobrym chłopcem, i umyślne a systematyczne znęcanie się nad kimkolwiek tem mniej cechować mogło charakter i postępowanie jego, że czuł się on na tym Bożym świecie szczęśliwym i nieograniczenie z własnej osoby swej zadowolonym. Wiadomo zaś jest, że ludzie szczęśliwi i radzi z siebie wyjątkowo chyba bywają okrutni.

Nakoniec pan Leonid Igorowicz posiadał edukacyą i wiedział dobrze, iż pierwszą a nieodłączną cechą człowieka z edukacyą jest—grzeczność. Na ogół więc bywał on względem szwajcara grzecznym, a jeżeli z początku pozwał sobie niekiedy na lekkie poigranie z przeszłością i uczuciami jego, był to tylko wynik ślepego posłuszeństwa modzie, będącego też, jak dobrze o tem wiedział, nieodłączną właściwością człowieka z edukacyą. Wypływając z posłuszeństwa modzie i wrodzonej zresztą żartobliwości, nie zaś z jakiegobądź zasad lub namiętności, igraszki te pana Leonida Igorowicza uprzykrzyły mu się wkrótce i całkiem ustały, a w zamian przyniósł on dnia pewnego do izdebki szwajcara stos.ksiąg rachunkowych i, składając je na starem biurku, z wyszukaną niemal grzecznością przemówił:

— Ja mam nadzieję, że pan Otocki odda mi tę przysługę i przeszłego miesiąca rachunki uregułuje. Wszak pan Otocki dobrze rachować umie? nie tak zapewne, jak ja, który byłem dwa lata w szkole handlowej, w samym Berlinie, ale zawsze umie. Tu roboty niewiele, na jaki tydzień; w przestankach pomiędzy przychodzeniem pociągów, pan będziesz mógł zająć się tem sobie... bo ja będę miał w tym samym tygodniu aż dwa wesela w mo-

jej familii, na których mnie trzeba być koniecznie, a rachunki przecież czekać nie mogą; prawda?

Otocki wielkimi oczyma patrzył na przemawiającego do niego w ten sposób pana Leonida Igorowicza, nie mogąc snadź zrozumieć, jaki stosunek zachodził pomiędzy regulowaniem rachunków hotelowych, a przyjętymi przez niego obowiązkami odzwiernego. Widać nawet było, że z razu uczuł w sobie to wewnętrzne poruszenie, do jakiego był z natury wielce skłonny, a które nazywa się poprostu gniewem, gdyż źrenice jego błysnęły jak stal, a ręka z nagle i silnie targnęła białego wąsa. Byłby też zapewne udzielił odpowiedzi, co najmniej, odmownej, gdyby u żelaznego piecyka nie poruszyła się w tejże chwili, siedząca tam na stolku, mała dziewczynka i sprawionym przez to szmerem nie zwróciła w tę stronę wzroku jego. Spojrzał przełotnie na bladawą, drobną twarz dziecinną, oświetloną czerwonym blaskiem żaru i spokojnie panu Leonidowi Igorowiczowi odpowiedział:

— Prawda!

— To proszę bardzo, żeby te rachunki były akuratnie zrobione. Ja tu czasem zajrzę i zobaczę, jak to pan robić będziesz. A teraz, *adiu*. Mój kuzyn dał mi na całe dwa dni urlop, z powodu tego wesela. Przyjdę aż pojutrze.

Wyszedł wesół i śmiejący się, jak zwykle, a Otocki zasiadł przed biurkiem, rozłożył przed sobą księgi, napelnione długimi kolumnami cyfr, i, włożywszy okulary, pracowicie rozglądać się zaczął w nowem zadaniu, które, wiedział o tem dobrze, spełniać już miał nadal zawsze. W izdebce

panowało przykre światło, złożone z bladych smug dziennych, wnikających z sieni przez szklaną ścianę, i z żółtej luny, którą rzucał wiszący nad biurkiem płomyk gazowy. W świetle tem głowa szwajcara, pochylona nad księgami, nie wydawała się wcale zgnębioną. Pracował on z trudnością widoczną, ale z ochotą i nawet gorliwie, często jednak podnosząc twarz i przelotne spojrzenie rzucając w stronę żelaznego piecyka. Lecz o ile weselszym, jakże nawet rozpromienionym był wtedy, gdy, po dwóch godzinach pilnej roboty, spojrzawszy na srebrny swój zegarek i przekonawszy się, że do przyścia najbliższego pociągu kolei zostawało jeszcze trochę czasu, zwrócił się całą postacią ku żelaznemu piecykowi, i, wyciągając w jego kierunku oba ramiona, z serdecznym śmiechem zawołał:

— Ptasin mój, ptasiu, ptasiu! chodź, chodź!

Dziewczynka przecież, siedząca przed czerwonym żarem, na wołanie to nie zleciała, jak ptaszę, w objęcia jego, lekko i ze szczebiotem; lecz, zsunawszy się ze stołka, szła ku niemu zwolna, poważnie. On pochwycił ją na ręce i, śmiejąc się wciąż, huścić ją zaczął tak, jak to czynią piastunki z bardzo matemi dziećmi. Wtem dotknął dłonią drobnych jej stóp, które, niedostatecznie obute, nie zdołały rozgrzać się przed dogasającym ogniem piecyka.

— O, mój Boże!—zawołał—ależ tobie w nóżki zimno! trzewiczki masz takie lekkie, a ja głupi dziad dotąd tego nie spostrzegłem!

Uderzył się dłonią w czoło... Zaleciwszy Lusi, aby cichutko siedziała w izdebce, czekając jego powrotu, porwał czapkę z galonem i wybiegł na mia-

sto. Wrócił bardzo prędko, z malutkimi, ale ciepłymi pończoszками i bucikami w dużych swych rękach; posadził Lusię na stołku i, ukląkszy przed nią, zajął się ubezpieczeniem nóg jej od chłodu. Zdejmowanie i wkładanie dziecinnego obuwia szło mu bardzo niezręcznie i z większą nierównie trudnością, niż regulowanie rachunków hotelu Wszech-Krajów. Otwierał usta, sapał głośno, męczył się tak, aż mu kilka kropel potu wystąpiło na wysokie czoło; lecz dokonał zadania i, pochyliwszy się niżej jeszcze, malutką nóżkę wnuczki namiętnie ucałował. Ubóstwiał ją. Ona uśmiechała się, blado patrząc na niezgrabnie poruszające się dokoła stóp jej ręce dziadka; a gdy już podniósł głowę, zarzuciła mu na szyję obie ręce i kilka głośnych pocałunków wycisnęła na jego policzkach. Nikt opisać nie zdoła radosnej luny, która wybuchnęła na twarz Otocckiego i nadała jej wyraz bezgranicznego uszczęśliwienia. Zawołany w tejże chwili przez przybywających do hotelu gości, nie szedł, ale leciał, prowadząc ich po schodach na wysokie piętra hotelu, uprzejmy nad wyraz, gadatliwy nawet, a tak zręczny w pokazywaniu i zachwalaniu hotelowych apartamentów, jakby nie innego nad to w życiu swoim nie robił.

Innym razem, a bywało to najczęściej wieczorami, gdy wielka ozdobna sień hotelu pałała od gazowego światła, a za oknem, pod krytym podjazdem, coraz rzadsi przesuwali się przechodnie, Otoccki siedział przy biurku, trzymając wnuczkę na kolanach, i wraz z nią czytając podartą książczynę, którą w innych porach starannie chował do szuflady biurka. Srebrny, choć przytłumiony nieco, głos

dziecinny, zrazu niepewnie i jękając się, potem coraz bieglej, a nawet z coraz wyraźniejszą i patetyczniejszą deklamacją, napelniał izdebkę harmonijnymi dźwiękami, zakłętymi w wierszach „Śpiewów Historycznych“. Kiedy górne piętra hotelu wrzały ruchem i gwarem, a w wielkiej sieni, wśród powodzi światła, siedział i drzemał na ławie jeden tylko stary, brodaty komisjoner, za szklaną ścianą srebrny głosik wydzwaniał:

Ten co najpierwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie
Syt lat i chwały, już Mieczysław stary
Legł w przodków grobie.

Ile było w wierszach tych wyrazów, tyle pocałunków usta szwajcara wyciskały na policzkach i czole wnuczki; ona zaś czytała, lub mówiła coraz głośniejszą, z czarnem swem okiem, utkwionem w wiszący wysoko płomyk gazowy, który też napelniał iskrami głębie jej żrenic.

Czasem za ścianką izdebki, w znajdującym się tam obszernym i wykwinnym apartamencie, rozlegały się odgłosy hucznych biesiad, dzwoniły szkła, huczały śmiechy swawolne, lub pieśni hulaszce. Słuchając odgłosów tych, Otocki zamyślał się, a niekiedy drżącą dłonią przecierał zorane czoło i oczy, w których przelatywały stalowe błyski bólu, czy gniewu. Lecz, nie zważając na hulaszczą wrzawę, która szumiała za ścianą, mała dziewczynka, z lnia-

nemi włosy i patetycznem spojrzeniem wzniesionych w górę oczu, deklamowała:

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoni,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu.

Otocki budził się z zamyślenia, łagodniał, uśmiechał się i mówił:

— Śpiewaj! śpiewaj ty mi, ptaku mój najdroższy! dzwoń, dzwoń, skowronku! leć w górę i mnie bierz z sobą!

Skowronek dzwonił dalej:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

I późna już czasem bywała godzina, gdy obok izdebki szwajcara, w wykwinnym apartamencie hotelowym, zabawa i wrzawa dochodziły szczytu swego, a przeraźliwym śmiechom, brzękom tłuczonych szkieł i wykrzykom, obwołującym przegraną i wygraną, wtórował srebrny i zapalem wzdęty głos dziecinny:

Cecorskie pola i wy głuche lasy,
Co na wiarzchołkach swych wiatry niesiecie!...

Raz, po wieczorze, w sposób ten spędzonym, w noc mroźną i księżycową, Otecki odprowadzał wnuczkę do mieszkania Ryżyńskich.

Dopóki znajdowali się wśród ulic, pełnych gwaru i przechodniów, w milczeniu szła obok dziadka; lecz, gdy tylko weszli na mały placyk, cichy i pusty prawie, ozwała się nagle i głośno:

— Dziadziu! dziadziu! patrz!

Zarazem stanęła i z twarzą, wzniesioną w górę, palcem ukazywała na to miejsce odsłoniętych niebios, gdzie białe obłoki, niby szeregiem mar lek- kich i rozwiewnych, sunęły z wolna nad tarczą księżycą.

— Co?—pochyłając się nad nią, zapytał Otecki—co mi tam ciekawego pokazujesz na niebie?

— Rycerze!—odrzekła. — Tam! widzisz dziadziu? w hełmie i ze skrzydłami... z takimi srebrnymi skrzydłami...

Wlepiała wzrok w widziadło, które ukazało się jej pod głębokiem sklepieniem nocnego nieba i uśmiechniętymi usty szeptała:

Jechał Sieniawski odważny i smutny,

W błyszczącej zbroi i na śnieżnym koniu!

Odtąd, przez czas dość długi, gdy tylko w noc księżycową znajdowała się na ulicy, albo w lecie siedziała przy otwartem oknie małej bawialni Ryżyńskich, zamyślonym swym, a w głębi ognistym wzrokiem, szukała na niebie „smutnego“ rycerza,

którego skrzydłami były lekkie mgły nocne, rumakiem obłok biały, a hełmem—złocisty odbłask księżycy. Można by powiedzieć, że kochała się ona w rycerzu tym, który przed dziecięcą jej wyobraźnią spłynął po tęczowym szlaku poezji, tak często bez wezwania i z własnego popędu wypowiadała wiersz, zawierający dzieje jego; z takim głębokiem przejęciem się odgrywała akcyę, w wierszu tym zawartą. Działo się to w sposób następujący. Wybiegała do sieni i stamtąd wjeżdżała do izdebki dziada na „śnieżnym rumaku“, galopując, ramionami naśladowując ruch skrzydeł, patząc w sufit, jakby w „księżyc cicho roztoczony“ i zmierzając wprost ku żelaznemu piecykowi. Tu stawała w melancholijnej, zadumanej postawie, i nagle schylała się, wołając: „hełm“, a z pomiędzy czarnych nóżek piecyka wydobywszy brzydkie i drobne tęce jej czerniacy, odłam węgla, oglądała go ze stron wszystkich, aż znajdowała „w zbyt drogim kamieniu herb Żółkiewskiego i rdzy krwawej znaki“. Wtedy zwracała się ku izdebce i z takim wyrazem, jakby na świadectwo smutku swego brała ściany i stołki, widniejące za oknem kolumny podjazdu i wiszący w powietrzu płomyk gazowy, zaczynała:

Cecorskie pola, i wy głuche lasy!...

Gdy kończyła strofę, oczy jej bywały czasem pełne łez.

Raz, gdy więcej, niż zwykle, poważna i zamysłona, z rękoma wsuniętymi w rękawy sukni,

siedziała na stolku obok biurka, przy którym dziad jej pograżał się w przeglądaniu ksiąg hotelowych, Otocki oderwał wzrok od roboty swej, popatrzał na nią długo, potem wyszedł na chwilę i wrócił, niosąc dużą, pięknie ustrojona, lalkę.

— Masz lalkę, małeńka — rzekł — kiedy będę zajęty, albo odejdę ztąd na chwilę, będziesz się nią bawiła i weselej ci będzie.

Dziewczynka z nagłym okrzykiem radości pochwyciła ładną zabawkę; lecz wkrótce zaczęła nad czemś głęboko myśleć i rozplatać jasne swe włosy, które dwoma grubemi już warkoczami otaczały jej głowę.

Rozplótszy włosy, owinęła lalkę w ciepły swój płaszczyk i, przybrawszy żalostną postawę, zaczęła zwolna kołysać ją w ramionach. Otocki, zsumowawszy w księdze kilka kolumn cyfr, spojrzął na wnuczkę.

— Cóż to znaczy? — żartobliwie zapytał — dlaczego rozplotłaś włosy i tak żałośliwie spuszczasz głowę nad swoją lalką?

Nie zmieniając postawy, przytłumionym głosem deklamować zaczęła:

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna tuli u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym...

— Aha! — śmiejąc się głośno i rozkosznie, zawołał szwajcar — to znaczy, że ty jesteś Helena, od

dworaków opuszczona, a te rozpuszczone włosy, to strój niedbały, a lalka — to Leszek...

Tu rozległ się w sieni głos pana Leonida Igorowicza:

— Otocki! Otocki! nu: panie Otocki! zaprowadź *te państwo* pod Nr. 48...

Pochwycił z czarnej tablicy jeden z wiszących na niej kilku rzędami ciężkich kluczy i wybiegł, a gdy, po upływie kwadransa, wrócił, Lusja patrzyła przez okno na przesuających się za niem przechodniów, a lalka daleko odrzucona, leżała na ziemi.

— Cóż? — zapytał — dlaczego nie bawisz się swoją lalką?

— Nie chcę! — odpowiedziała krótko — nieżywa!

Było w niej coś, co w szczególny sposób pociągało ją ku wszystkiemu, w czem wyrażała się akcja jakaś, patetyczność bólu, albo energia czynu. Z pomiędzy licznych posągów, zdobiących hotel, najulubieńszymi, tymi, przed którymi zatrzymywała się w każdej swej po hotelu wędrowce, były te, które w wyciągniętych ramionach dzierżyły miecze, lub, z podniesionemi twarzami i rozwartemi usty, zdawały się krzyczeć z bólu, albo o ratunek wołać. Skrzydlate kupidyny i pyzate dzieci, w pulchnych dłoniach podnoszące kosze z kwiatami, a śmiejące się szeroko i do każdego, kto na nie spojrzal, omijała ona obojętnie, albo nawet ze wzgardliwym spojrzeniem, zdajacem się mówić: — „I czegoś śmiejecie się tak ciągle i pokazujecie swoje brzydkie, opylone kwiaty? Wyglądacie bardzo głupio!“

Gdy ubiegło lat parę, dziad i wnuczka umieli

już na pamięć „Śpiewy Historyczne“ i po wiele razy przeczytali wspólnie drugą książeczkę, która znajdowała się w posiadaniu Otockiego, a którą były *Psalmy*. Dziwne zaprawdę wrażenie sprawiłyby mógł widok małej tej jasnowłosej dziewczynki, gdy, siedząc na kolanach dziadka, z ramieniem, na szyję jego zarzuconem, drobnemi, bladawemi usty swemi czytała:

Jak dym, tak lata moje uleciały,
Kości jak głownie moje wygorzały...
Jestem jak w lesiech pelikan schowany
Jestem jak pułacz, w pustyni w mieszkany...

Kiedy już i *Psalmy* wszystkie umiała na pamięć, Otockie zaczął ją uczyć pisania. Na tem przecież drugim stadyum skończył się dla niej kurs nauk, otrzymywanych w szkolnej izdebce odzwiernego. Miała już lat dziesięć i pisała tak prawie biegle, jak czytała, gdy raz lekarz jakiś otworzył drzwi izdebki, w celu zasiągnięcia u odzwiernego potrzebnych mu informacyi. Ujrawszy dziewczynkę, siedzącą przy starem biurku i gorliwie zajętą przepisywaniem jednego z *Psałmów*, popatrzał na nią uważnie i zwrócił się do Otockiego:

— Zapewne to córka, lub wnuczka pana. Żle pan robisz, że ją tu trzymasz, a gorzej jeszcze, że jej tu pracować każesz. Powietrze tu niedobre, a pomieszanie światła dziennego ze sztucznem jest w najwyższym stopniu szkodliwe dla oczu. Jeżeli dziecko to przebywać tu będzie, a tem bardziej

uczyć się, może silnie nadwzględować sobie wzrok i wogóle zdrowie.

Co rzekłszy, odszedł; Otockie zaś pozostał jak w ziemię wryty, z wyrazem przerażenia na twarzy.

Ani przez myśl mu nie przeszło, że sam przebywał tu we dnie i w nocy, śpiąc tuż przy żelaznym piecyku, wydającym z siebie wieczny swąd węgla i przypalanej olejnej farby, a godzinami całemi ślęcząc nad hotelowemi księgami, po których mieniły się i krzyżowały białe i żółte światła. Jego zdrowie! jego oczy! Były to dla niego pyły tak marne, że bez wieści, ni śladu, utonęły w morzu trwogi o nią, którem oblały go słowa lekarza.

Dnia tego Otockie rachował naprzód długo i starannie dochody swe i rozchody, a potem, w pierwszej wolnej chwili, udał się do Ryżyńskich i stoczył z panią Anielą długą i ożywioną rozmowę, wśród której pani Aniela podjęła się wynaleźć pensję taką, coby jaknajwyższą skalę naukową łączyła z jaknajlepiej ubezpieczoną moralnością i jaknajmniejszymi wymaganiami pieniężnymi. Na drugi szczególnie z pomiędzy trzech warunków tych Otockie kładł nacisk szczególnie.

— Wolę — mówił — aby mniej trochę umiała, lecz aby była dobrą i uczciwą...

I dodawał:

— Będę się starał, aby ludzie hojniej mnie obdarzali. Muszę być usłużniejszym i śmielej leżeć im w oczy, niż dotąd.

Usłużność jednak przychodziła mu z trudnością, a *leżenie w oczy*, pomimo, że, zrzekłszy się dotychczasowych przesądów, siłił się na nie, było

mu już wprost niemożliwem. Dlatego pensya, na którą Lusia chodzić zaczęła, była jedną z tańszych; ile razy zaś Otocki gryźć się tem zdawał, pani Aniela pokazywała mu torbę sporych rozmiarów, do żołnierskiego tornistra podobną, a książkami wypchaną, którą dziewczynka, chodząc na pensyą i z pensyi, na plecach swych nosiła.

— Małoż to tu jeszcze mądrości!—mówiła—po francusku i po niemiecku nauczają ją wyśmienie, i trochę innych tam różnych nauk. Będzie już z tem mogła zarobić sobie na kawałek chleba, lekye dając, a potem za mąż wyjdzie pewnie, bo ładna.

Odtąd każdego wieczora, gdy tylko drzwi się zamknęły za odchodzącym do biura panem Marcellim, pani Aniela, wchodząc do bawialni z koszem swym, pełnym starej bielizny i odzieży, zamiast, jak dawniej, wołać:

— Julek! ucz się! — wołała. — Dzieci! uczcie się!

Uczyły się. Mała sypialnia, w której uprzednio stojące sprzęty przycisnęły się jedne do drugich, aby zrobić miejsce dla okrągłego stołu, pełnego zadrukowanych i zapisanych papierów, przez długie wieczorne godziny rozlegała się ich głosami. Przy świetle małej lampki, pod ścianami, nie żółtemi już, jak w bawialni, ale sinemi, siedziały one, naprzeciw siebie i, przyciskając dłonie do uszu, żeby wzajem nie słyszeć swoich głosów, uczyły się.

Bez przerwy ni odpoczynku, jakby jednym tchem, dziewczynka mruzczała:

— *Je rends, tu rends, il rend, nous rendons vous rendez...*

A z drugiej strony stołu wtórowało jej mruczenie chłopca:

— *Potens—potentis,*

Ingens—ingentis,

Diligens—diligentis...

Łacina jego mąciła jej francuzczyznę. Mocniej więc dłonie do uszu przyciskając, głośniejsze, niż wprzód, powtarzała:

— *Je reçus, il reçut, nous recevons...*

Jakby odpowiadając, on także podnosił głos i monotonna, lecz donośnie już, prawil swoje:

— *Audax—audacis.*

Loquax—loquacis,

Verax—veracis,

Simplex—simplicis.

I tak trwało długo, długo aż Lusia odrzucała książkę jedną, a natychmiast otwierając i kładąc przed sobą inną, wołać zaczynała:

— *Ich bin, du bist, er ist, wir sind...*

Albo:

— *Ich werde, du wirst, er wird...*

Julek zaś, tonem takim, jak gdyby mówil szatanom, aby go odstąpili, powtarzał:

— *Absum,*

Adsum,

Desum,

Insum,

Intersum!

A potem:

— *Audi—ebam,*

Audi—ebas,

Audi—ebat...

*Audi—rem,
Audi—res,
Audi—ret...*

Nie mruczeli już teraz, ale krzyczeli; oczy do sufitu wznosili, od czasu do czasu głęboko wzdychali. Dziewczynka od czasu do czasu przyciskała do czoła obie dłonie, co postawie jej nadawało wyraz rozpaczny; chłopiec chwycił się za włosy, czochrął je bez miłosierdzia, a nogami dokonywał ruchów najwyższego znecierpliwienia. Znecierpliwienie to nie przeszkadzało mu przechodzić od łaciny do greczyzny, kiedy Lusia, odrzuciwszy książkę z koniugacją niemiecką, po tysiąc razy powtarzała i odmieniała części mowy języka wykładowego, Julek, szeroko rozwarte oczy wlepiając w twarz jej, zdawał się, z zapalczywością niesłychaną, do niej właśnie przemawiać mową Temistoklesa i Platona. Ogółem biorąc, w sinych ścianach pokoiku tego brzmiało języków pięć, z których ani jeden nie był tym, który z tego samego, co dzieci te, wyrósł gruntu. Pani Aniela, w sąsiedniej bawialni szyjąc, cerując i latając, podnosiła czasem głowę, rękę z igłą zawieszając w powietrzu, i w gwar ten wielojęzyczny wsłuchiwała się z uśmiechem radości i dumy. Nigdy, nigdy nie przypuszczała, aby tyle na raz przeróżnych dźwięków i wyrazów zmieścić się mogło w głowie jednego człowieka; mieściło się jednak w głowie jej syna, bo i on także, lubo nie często, krzyczał w niebogłosy.

— *Je reçois, tu reçois, il recoit...*
Albo:

— *Der Mensch, des Menschen, dem Menschen.*

A Lusia wtórowała mu wtedy:

— Ren, Rodan, Sekwana, Loara, Tyber, Tag, Elba, Odra, Gwadalkiwir!...

Niekiedy przecież gwar ten, który tak mile głaskał macierzyńską miłość i dumę pani Anieli, milkł nagle, a stawało się tak dlatego, że Julek, nagłym ruchem odrzucając od siebie książkę, z której tylko co się nauczył, że *fuissem* znaczy: byłbym, *fuero*—będę, i obie ręce topiąc we włosach, przez zaciśnięte zęby mówił:

— Niech ich wszyscy dyabli wezmą!

Lusia podnosiła też głowę z nad książek, prostowała szczupłą swą postać i głębokiem odetchnieniem usiłowała wciągnąć do piersi swej trochę powietrza, które w sonej izdebce znajdowało się w ilości niesłychanie małej i w gatunku najgorszym.

— Chciałabym pochodzić trochę!—mówiła, poziewając szeroko.

— To pochodź, pochodź sobie! Któż ci przeszkadza? Miejsca na spacer, zdaje się, nie brak.

Mówiąc to, spoglądał na przestrzeń pomiędzy stołem a łózkami, tak ciasną, że drobna chyba mysz spacerowaćby po niej mogła.

— W bawialni obszernej—dodawał—cztery kroki wzdłuż i cztery w poprzek, ale wyjdź tam tylko, a zaraz posłyszysz: Dzieci! uczenie się!

Lusia wstawała i, wiedzioną instynktem, rozkazującym istocie żywej szukać obrony przeciw zaduszeniu się, otwierała u okna lufcik i z wyraźną rozkoszą wystawiała na ostry powiew zimy twarz, roz-

paloną przez kilkogodzinne wysilenie umysłu i woli. Julek stawał obok niej. Za oknem, które wychodziło na dziedziniec, spuszczały się w dół dachy domostw, niższych od żółtej kamienicy i na czarnem tle nocy rysowały się szare kominy suchemi zarysami, sterzące ku kawałkowi nieba, pod którym włóki się ciężki, a nieskończony pochód deszczowych, lub śniegowych, chmur. Zmęczonemi oczyma wodzili oboje po dachach i kominach, albo, wznosząc w górę spojrzenia, zatrzymywali je na drobnych gwiazdach, które tu i owdzie mdło i niestale błyskały wśród rwących się w brudne szmaty obłoków. Czasem deszcz padał, a z za mgły wilgotnej, rzadkie, oświetlone okna przeciwnych domostw mrugały łzawo, jak chore, lub zapłakane, oczy.

— Ciekawam—zaczynała Lusia—co tam może być i kto tam żyje za temi oknami?

— Ot, co może być! Takie samo pewno żółte ściany, jak u nas, i tak samo pewno uczą się tam ludzie po łacinie, po grecku i dyabli wiedzą po jakimu; co się zaś tyczy życia... to chyba kiedyś będzie ono...

Nie dokończył, bo z przyległej izdebki ozwał się głos pani Anieli:

— Otworzyliście tam okno! mieszkanie wyziebnie, i jutro trzeba będzie furę drewna spalić! Zamknijcie zaraz i uczcie się!

Julek z trzaskiem zamykał lufcik i, robiąc na Lusie tak straszne oczy, jakby ją żywcem chciał pożreć, zdławionym głosem wymawiał:

— Uczmy się! No, uczmy się!

Siadali znowu przy stole, i tym razem zaczy-

nali już pisać, to jest: co chwila porywali dykcyonarze i, po mozolnem a długiem przewracaniu kartek, zapisywali znalezione tłumaczenia niezrozumiałych dla nich wyrazów.

Tłumaczyli. Po skończonej robocie, przed oczyma ich leżała mozaika wyrazów, najdziwniej powiązanych, w którą przez parę minut wpatrywali się oboje szeroko roztwartemi oczami.

Czytali wykonane przez się prace, odczytywali je półgłosem, aż nakoniec jednocześnie podnieśli głowy, spojrzeli sobie w oczy i wybuchnęli głośnym śmiechem. W śmiechu tym, jakkolwiek wychodził on z ust dziecinnych, było coś gorzkiego.

— Zrozumiałaś?—krótco zapytał Julek.

— Bardzo mało—z cicha odpowiedziała dziewczynka.—A ty?

— Prawie nic.

Udzieliwszy odpowiedzi tej, z wielką powagą założył nogę na nogę, rozpostarł się na swem kulawem trochę krześle, i z zastanowieniem, na sposób gderliwych starców, głową trzęsąc, mówić zaczął:

— I powiedz mi, po co to wszystko? Czy ja kiedy będę żył na 1500 lub 760 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana? Przecież żyję teraz i chciałbym wiedzieć, co właściwie terazniejszy świat robi? A ty ani rusz. Nauczyciele—nie nauczyciele i rodzice... nie nauczyciele. Od nikogo nie dowiesz się nic; sam wszystkiego dochodzi; a jak czego nie dojdziesz, to chyba sobie w łeb palnij i koniec!

Zamiast jednak dopuścić się tego okrutnego na osobę swoją zamachu, zabierał się do rysowania karykatur, mających na celu przedstawienie nauczy-

cieli szkolnych, w najbardziej zabawnych i rozbawiających postawach i sytuacjach; przyczem opowiadał towarzysze swej tysiączne anegdoty, dowodzące, że szacunek i miłość jego dla instytucji, z której brał światło wiedzy, równały się zeru i za stąpione były przez uczucia głuchego buntu wzgardliwej niechęci.

Miał lat piętnaście, gdy pewnego wieczora powiedział jej z miną taką, jakby przyszedł nakoniec do upragnionej dawno, a wielce cennej wiadomości:

— Wiesz, co dziś powiedział ten duży Michał? widziałas go przecie, bom ci go na ulicy pokazywał, siódmoklasista przecie i pierwszy łacinnik! Otóż powiedział, że szkoły kończyć trzeba dlatego tylko, aby móżdż potem jakakolwiek karierę zrobić; inaczej niktby z pewnością nie znosił tej męczarni. Ot co.

Odtąd wiedzieli już dobrze, dlaczego istnieją i czem są szkoły. Określili też sobie wkrótce naturę i właściwości gniazda tego, w którym się chowali.

— Bo widzisz—mówił Julek—czemże jest ten nasz dom, w którym ludzie nie więcej nie robią, tylko gotują, jedzą, śpią i budzą się, dlatego, aby znowu gotować, jeść i spać? Ciemną piwnicą, w której mieszkają trzy siostry: bieda, nuda i krzywdą!

— Nuda... bieda...—zwolna powtórzyła Lusja—to prawda... ale dlaczego krzywdą?

— A jakże!—tłómaczył chłopiec—dlaczegoż mój ojciec przez całe życie, jak koń we młynie, ciągle jedno i jedno koło depce... Zdaje mi się, że za-

służył na to, aby pójść na deptak jaki ładniejszy i wygodniejszy...

Lusja z zamyśleniem, lecz też i z gwałtownością pewną, ręce splotła.

— O Boże!—zawołała—i ja, i mój dziadunio, powinniśmy też być w Otoku... gdzie biali, duży dom stoi...

Tu, ze szczególnym uśmiechem, w którym swawola łączyła się z goryczą, dodała:

— Okna otwierać można, bo jest czem w piecach palić!...

— Otóż widzisz — kończył Julek — widzisz i wiesz, że jest na świecie krzywdą. A ja ci powiadam, że ona, oprócz biedy i nudy, ma jedną jeszcze siostrę: złość. Zły jestem, jak sto dyabłów!

— A mnie smutno! — mówiła Lusja, bladawą twarz wspierając na małej dłoni.

— Boś baba!—wzgardliwie rzucił Julek, a po chwili z przekąsem zapytywał: — Czy myślisz, że mnie wesoło? Ot, tem tylko pocieszam się, że kiedyś, kiedyś — wylecę ztąd w świat szeroki, widny, ludny i zobaczycie tu mnie tak, jak swoje uszy bez lustra!...

Wylot ten przecież później miał nastąpić, niż Julek się spodziewał; bo wkrótce po dostaniu promocyi do klasy szóstej, przyszedł on do domu z wyrazem wielkiego rozgniewania i zrozpaczenia na twarzy.

— Co ci to?—spojrzawszy na niego, zawołała Lusja.

Powiedział jej:

— Że do siedmiu istniejących dotąd klas, do-

dano jeszcze ósmą i że nic mu na świecie nie pozostaje, jak wyjść za miasto i w pierwszym lepszym lesie powiesić się na pierwszym lepszym drzewie.

W ciemnej rozpacz tej zostawał on przez dni kilka; poczem jednak, ze zdwojoną, zda się, żarliwością wziął się do pracy. Rzecz dziwna bowiem: dzieci te, tak srodze wyrzekające na udzielane im nauki, i tak wzgardliwie zapatrujące się na tych, od których je otrzymywały, były gorliwie, niemal namiętnie, pracowitemi. Wśród suchych formuł i wyrazów, które pojęciu ich i wyobraźni nie mówiły nic, a których związku z życiem, trudnego do spostrzeżenia, nie ukazywał im nikt, w zmordowaniu fizycznym, gdy dusiły się prawie w sienie izdebce i rozpalone twarze przyciskały do zimnej szyby okna nie odstępowała ich ani na chwilę i wciąż pechała naprzód namiętna żądza innego życia, nadzieja przyszłości, na którą zarabiała sobie tą nieulubioną i wysmiewaną przez się pracą. Były to nieustanne wewnętrzne walki, których nikt nie spostrzegał, lecz które sprawiały, że czoła dzieci tych były blade i chmurne, usta milezące, śmiech rzadki, cichy i smutny raczej, niż wesół.

Mylił-by się ten, ktoby mniemał, że obecność dwóch tych młodziutkich istot napelniała gniazdo, w którym wzrastały one, śpiewem, śmiechem, szczebiotem, będącymi, według wyobrażeń ogólnych, nieodłącznymi atrybutami gniazd wszelkich. Julek i Lusia śmieli się rzadko, a nie śpiewali i nie szczebiotali nigdy. W jedynej, wolnej od nauki, porze dnia, pomiędzy obiadem a zapaleniem lampki, siedząc przy oknie i patrząc nasplywające w dół morze dachów,

albo na suche linie kominów i połamanych gzemsów, stawali się podobnymi do dwu ptaków, którym warstwa zgęszczonego powietrza ociężyla skrzydła i które, osiadłszy na piaszczystej ławie, tęsknym wzrokiem wypatrują żdźbła zieleni, lub promyka słońca. Czasem przysuwali twarze blisko do okna bawialni i dojrząc usiłowali ulicę, ciągnącą się w dalekim dole pstrym i ruchomym szlakiem. Nie widzieli jednak nic, bo oddalenie zaciemniało barwy i linie, sprowadzając postacie ludzkie do rozmiarów lalek; a jedynymi odgłosami, które ztamtąd dolatywały ich uszu, był głuchy, jakby podziemny, grzmot kół, i niekiedy tony katarzynki, które, topiąc się i rwąc w powietrzu, dochodziły tu oderwanymi, przeciągłymi jęki.

Chmurność ta była piętnem, złożonem na czołach ich przez atmosferę, wśród której wzrastały ich duchy, przed składając atmosferę tę pierwiastki bólu, znużenia, powszedniej troski i grobowej ciszy. Pierwiastki te istniały w zielonej wiosce, w której Lusia otrzymała pierwsze wrażenia sierociego życia, w oszklonej izdebce odzwierne, w żółtych ścianach kancelisty i dalej jeszcze, dalej jeszcze, dalej, pośród wrzaskliwych nawet ulic miejskich, w wielkich salach, będących zbiornikami nauki, na polach rozległych, w przestrzeni pełnej liści, które od drzew swych oderwane, tulały się błędne, lub osiadały trwożnie i nisko, nisko przy zrytej przez burzę ziemi...

Drugą wybitną cechą dzieci tych była—ciekawość, cenciwa, namiętna, nienasycona ciekawość świata i spraw jego, ludzi i ich stosunków, życia, jego cierpień, radości, grzechów i cnót. Uczucie to przynosiły z sobą do domu ze szkoły, z ulicy; rozniecały

je w nich koleżeńskie rozmowy, przelotnie zasłyszane zdania, gwałtowny nakonec popęd ku wszystkiemu, co istniało po za żółtymi i sinymi ścianami ich gniazda. Zadowolenia żądz tej, wwianej w ich wnętrza przez niedostrzeżone, lecz nieprzeparte prądy czasu, szukały z razu w książkach szkolnych. Do każdej nieznanej jeszcze, nieprzeczytanej karty książek tych, rzucały się ochotnie, cheiwie niemal, pochłaniały ją szybko i zawiedzione, sarkaly zcicha, opuszczając ręce. Potem jednak, tak bardzo upragnione im wieści z szerokiego świata i o nim spływać na nie zaczęły obficie i ze stron różnych. Kiedy Julek wracał ze szkoły, Lusia, pierwiej nieco od niego przybywająca do domu, zrywała się z siedzenia, z żywością ruchów, zupełnie u niej niezwykłych, podbiegała ku niemu i z cicha, lecz żywo, pytała:

— Cóż? jest co? przyniosłeś?

Jeżeli odpowiedź była twierdzącą, oboje przez resztę dnia zdradzali się ze szczególnem unich, gorązkowem nieco, ożywieniem: mówili więcej, niż kiedy; w obecności pani Anieli, dawali sobie oczyma znaki porozumienia; a wieczorem, w sonej izdebce, przy okrągłym stole siedząc, uczyli się z roztargnieniem i trudnością widoczną. Kiedy nakonec pan Marcełi wrócił z biura, głos pani Anieli, czytającej gazetę, przebrzmiał, a natomiast rozległy się głośnie oddechy dwóch głęboko uspiionych osób, Lusia zrywała się z pościeli, w białej odzieży, niedbale zarzuconej na szczupłe ramiona, bosami najczęściej stopy, cicho, jak mała kotka, przebiegała bawialnią, wsuwała się do kuchenki i starannie, bez najlżejszego szelestu, drzwi za sobą zamykała.

— Śpią już? — zapytywał Julek.

— Aż chrapią! — z cichym chichotem odpowiadała dziewczyna.

Wtedy zrzucał on z tapczanika szczupłą swą pościel, stawiał na nim zapaloną lampkę i ze starej, małej skrzynki, od której klucz nosił przy sobie, wydobywał podarte najczęściej książki, zszarżane broszury, wymięte, zbrudzone dzienniki różnych rozmiarów i formatów. Było ich czasem tak wiele, że kryły się prawie pod niemi szare i białe paski, osłaniającego tapczanik drelichu.

Przestali już prawie być dziećmi! On był wysmukłym, zgrabnym młodzieńcem, którego szczupłość i wiotkość przypominała roślinę wybiegłą i chwiejną. Ona rosła powoli i była małą, lecz obok wpadłej piersi i chudych ramion, które znamionowały podlotka, przy lnianych włosach swych miała bladłość gorącą i nieco przywiedłą, po której przebiegały błyski lotnych myśli i drgnienia namiętych wzruszeń. Na niskich stołkach, albo na chropowatych deskach podłogi, przy tapczaniku siedząc, pochwytywali książki z kartami, wypadającymi ze zszarżanej oprawy, albo zmięte i śladami mnóstwa rąk poznaczone dzienniki, i czytali, to jest: jedno z nich czytało przytłumionym głosem, a drugie z twarzą, opartą na dłoni, rozżarzone oczy w twarz czytającego, jak w tęczę, wlepiając, słuchało. Ze szpargałów tych i świstków, szleszczących w ich dłoniach, w gorące głowy ich i śpiesznie oddychające piersi lał się deszcz nazw, określeń, zdań, haseł, pomysłów i marzeń. Zkąd deszcz ten powstawał? Jak zwykle bywa. Na powietrzne warstwy, które sprawiły powstanie jego, złożyły się

najrozmaitsze i najsprzeczniesze sobie pierwiastki: oddechy silnych, lub nawet bohaterskich piersi i chorośliwe, suchotnicze wyziewy; ożywcze wonie leczniczych roślin i gorzkie soki trucizn; potężne natchnienia, owiewające szczyty i zgniłe zarazki błotnistych nizin.

Były tam zdania, sądy i wieści o niebie i ziemi, naturze i Bogu, o człowieku i przeznaczeniu jego; były traktaty i wykłady z dziedziny nauk różnych, romanse i opowieści na tle stosunków i kolei wszelkich, polemiczne spory i rozprawy, fanatyzmem różnostronnym natchnione złorzeczenia, lub apoteozy. A wszystko to przybywało tu bez naturalnego początku i możliwego końca swego, w liniach połamanych, w kalekich kształtach, w obrazach bez głębi i światłocieniów, w cząstkach, które, oderwane od swych całości, udawały, że są światem, będąc istotnie bujającymi tylko w przestrzeni jego pyłkami. Nie to! przyglądając się szerokiej mozaice tej o jaskrawych i zawikłanych wzorach, dzieci te doświadczały takiego uszczęśliwienia, z jakim uczony, zamknięty w ciemnej komnacie, wita zjawiające się przed nim, w postaci tęczowego snopu, widmo słoneczne. Przed niemi, w kuchence z niskim sufitem, czarnym od okopcenia piecem i trochę starych gratów, rzucających długie cienie na opylone ściany, stubarwne i promieniste stawało widmo wiedzy. Przystawali czytać, zamyślali się, płonący wzrok wlepiali we wspaniałe widmo.

W głowach ich, jak ptaki o niewprawnych do latania skrzydłach, ważyły się tysiączne pytania. Wierzyć—nie wierzyć? Kochać—nie kochać? rozum

czy uczucie? obowiązek, czy swoboda? Poświęcenie, czy egoizm? Uwielbienie, czy szyderstwo? Szczęście dla siebie, czy męczeństwo za dobro świata? Co z tego wszystkiego prawdziwszem jest i wyższem?

— Co prawdziwszem?—zapytywał chłopiec.

— Co wyższem?—zapytywała dziewczyna.

On przedewszystkiem szukał drogowskazów, ona skrzydeł. Bywały noce, w których zdawało się im, że już znaleźli to, czego szukali. On naprzykład zdecydował, że rozum jest tak wszechpotężną dźwignią świata, iż uczucie ze spraw i stosunków ludzkich wytrącić może i powinien; lub, że osobiste, jakimbydź kosztem zdobyte, szczęście, może i powinno być jedynym celem człowieczego życia. Jej znowu żal się robiło zgnębiętego uczucia, którego głuche, lecz potężne, zaczyny czuła może w swej piersi, a ku męczeństwu, ku wielkiemu jakiemuś męczeństwu, które bucha pod niebo ofiarnym ogniem i dymem, uczuwała nieokreślony pociąg. Sprzeczały się więc z sobą; sprzeczały się czasem zawzięcie, długo, a tak żywo, że chłopiec nazywał dziewczynę sentymentalną i płacziwą babą, a ona go samolubem i zarozumiałcem. Szli jednak spać oboje uspokojeni i dumni z siebie samych. On, zasypiając, myślał, że wie już, jak myśleć i czynić, ku czemu dążyć w przyszłości; jej śniło się, że na śnieżnym rumaku leci pod niebo z rycerzem „odważnym i smutnym“, który, wskazując jej jakąś gwiazdę wielką, mówi: „sploniesz w niej, lecz świat zbawisz!“

Nazajutrz jednak zasiadali przy tapczaniku swym, niespokojni znowu i z pewnym wstydem podnosili na siebie nieśmiałe oczy.

— Wiesz? — zaczynał chłopiec — rozmyśliłem się; być może, zem się wczoraj mylił...

A ona odpowiadała z eicha:

— Ja nie wiem; wczoraj zdawało mi się, że najszcześliwszą byłabym, gdybym kogoś, lub coś bardzo mocno kochała i gdybym umrzeć mogła za szczęście i dobro ludzkie. Ale dziś... myślę, że chcę czegoś więcej, niż kochania i że... oddawanie się na męczeństwo jest, jak tyle innych rzeczy, skutkiem—przesądów!

Chmurnie i w milezeniu patrzali na szpargały swe i świstki po tapezanie rozrzucone. Julek zrywał się z niskiego siedzenia swego i ruchem, do którego od dzieciństwa był nawykł, obu dłońmi strzępiąc i w górę podnosząc gęste swe ciemne włosy, wołał:

— Jednakże dlaczego to tak? Dlaczego my, ja i ty, tak bardzo pragniemy tego, o co inni nie dbają? szukamy tego, o czym inni ani myślą?... dlaczego nie żyjemy sobie tak, jak inni? Mój Boże! ten piękny Jaś, na przykład, koleżka mój, trefi sobie wąsiki, zapieka włosy u fryzjera, umizga się do panienek, tańczy na wieczorkach i—szczęśliwy!—Ani dba o to, jak tam ludzie na świecie żyją, co myślą i jak żyć w co wierzyć, o co starać się trzeba! Albo Kostuś Wilski... z piątej klasy wyszedł, na mająteczku ojcowskim siadł, słusznym obywatelem już jest, patrzeć tylko, jak się ożeni; a je... strach! jak najęty! w puchach się wylega i — szczęśliwy... Albo duży Michał, ten, co to wiesz...

— To prawda! to prawda!—przerywała Lusia—u nas tak samo: są takie panny, które o niczem więcej nie myślą i nie mówią tylko o strojach

i o wyjściu za mąż. Ja nie; po głowie chodzi mi wciąż niewiedzieć co... smutno mi, niewiedzieć czego, i takbym chciała wszystko, wszystko widzieć, a czasem śpiewać... lecieć wysoko i... śpiewać!

Tu wsparła twarz na dłoni i zanuciła:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
* Księżyc w noc eichą świecił roztoczony...

Urwała, podniosła głowę i zapytała:

— Dlaczego to tak?

Zamyśleni, zasiadają znowu przy tapezaniku na niziutkim stołku, Julek odpowiada:

— Ot dlaczego! takimi już urodziliśmy się... i koniec!

Świat przedstawiał się im zagadkowo, w dwu-istej postaci piekła i raju. Zależało to od wrażeń, którymi tej lub owej nocy wionęło na nich towarzyszące nocnym pracom ich i zabawom widmo. Julek zrywał się z siedzenia, z zapalem wołając:

— Nie! tak zawsze być nie może! Jest na świecie postęp, możność doskonałości i szczęścia... tylko jak i co czynić, aby je zdobywać dla siebie i innych?

— Jak i co?—Nakształt echa powtarzało blade dziewczę, z twarzą w zadumie wspartą na dłoni, a gorejącem okiem, wpatrzonem w ciemno-żółte płomyki, które światło lampy krzesало w szybie okna. Płomyki te, których zapytywać się zdawało o słowo zagadek, pracujących w jej głowie, były — widmami świata.

W ten sposób spędzali oni bardzo często dłu-

gie zimowe i jesienne noce, głusi już teraz na wiosniane okrzyki kukulki, rozlegające się za zamkniętymi drzwiami małej bawialni, od czasu do czasu za to drgając nerwowo, gdy uszu ich dolatywały przeszywające, a ponure gwizdania nocnych stróżów. Niekiedy późno po północy uczuwaliby głód. Wtedy Julek stawiał samowar i wyjmował ze skrzynki swej odrobiny, przechowywanych tam starannie, herbaty i cukru. Gospodarując, śmieli się czasem do siebie z cicha i ostrożnie, ze spojrzzeniami, rzucanymi na drzwi zamknięte. Lecz nieśmiała wesołość ta nie istniała wcale, jeżeli pić mieli herbatę nie z głodu, ale dla odpędzenia snu, który przeszkadzał im w odczytaniu jednej z podartych książeczek, lub zmiętych szmat dziennika. Dla nasycenia głodu, zarówno jak dla pochwycenia za kraj szaty olśniewającego ich widma, poili się ciemnym mocnym płynem, który wżyły ich wlewał rozmarzający mózg i wyprężający nerwy pierwiastek narkotyku.

To też bywały dnie, w których wyglądali oboje tak, jak gdyby noc im przeszła w ciężkich bólach lub bezpamiętnym szale. Do zwykłej chmurności ich przybywała chorobliwość i czyniła ich podobnymi do roślin owych, które pod skwarem słońca płoną wędną purpurą. Było to tak widocznem i nawet uderzającym, że raz przy obiedzie pan Marceli wpatrzył się w syna obojętnymi zwykle oczyma i z żywością, nigdy prawie nie bywałą, zapytał:

— Co ci to?

— Nie, ojcze!—odpowiedział Julek głosem, pełnym zdziwienia; nie przywykł był bowiem do zapytań ojcowskich.

Pan Marceli popatrzył z kolei na Lusię i rzekł znowu:

— I tej też coś być musi.

Potem już nie nie mówił, tylko po skończonym obiedzie, zamiast udać się do sypialni na zwykły spoczynek, skinął ku żonie, aby usiadła przy nim i zapytał z cicha:

— Co im takiego być może?

Pani Aniela nie wcale nie rozumiała.

— Upatrujesz coś, Marceli!—rzekła—dzieci są tak, jak zwykle, zdrowe i uczą się dobrze.

Z powątpiewaniem wstrząsnął głową.

— Nie, nie! Złe bardzo wyglądają oboje, a przysięgam, czy ty uważasz, że nie śmieją się nigdy, a mówią tak prawie mało, jak ja. Trzeba, Aniello, abyś zwróciła na nich pilną uwagę: co robią? Czem się bawią? Co ich zasmucać, albo co im szkodzić może?

Panią Anielę ogarnął żal wielki i szczery.

— O mój Marceli!—zawołała—zdaje się jakbyś nie wierzył, że Julek jest całem szczęściem mojem i że dla tej biednej dziewczynki także robię wszystko, co mogę i powinnam. Nieustannie przecie są one pod okiem mojem. Pilnuję ich, karmię, jak mogę najlepiej, przestrzegam, do nauki napędzam, oszywam, własnymi rękoma ubieram, gdy wychodzą z domu. Co więcej nad to uczynić mogę?

Uśmiechała się, mówiąc to, ze zwyczaju, dla złagodzenia słów swych, które się jej wydawały zbyt ostre; lecz usta jej drżały z żalu, a błękitne zmęczone oczy zachodziły łzami.

— Może zanadto męczą się nauką?—zeicha zauważył pan Marceli.

Pani Aniela spojrzała na męża zza leż, ale ze szczególną powagą i ze szczególną też posępnnością wymówiła:

— Marceli! ty wiesz, ty sam najlepiej wiesz, jak ciężkiem jest życie bez nauki.

Spojrzał na nią zdziwiony może powagą i niemą surowością jej głosu, a dostrzegłszy na tej łagodnej twarzy, która dotąd same tylko dla niego miała uśmiechy, bolesne wzruszenie, w milczeniu już pocałował ją w rękę, wziął czapkę ze srebrną gwiaźdzką i wyszedł na miasto. Skierował się wprost ku hotelowi Wszech-Krajów i po chwili wchodził do oszklonej izdebki szwajcara.

Otocki, podnosząc głowę z nad ksiąg rachunkowych, uprzejmie, lecz z pewnym odcieniem trwogi, powitał przybyłego.

— Gość z pana rzadki. Czy tam czasem, broń Boże, co z Lusią...

— Właściwie—siadając na stołku, zaczął pan Marceli—właściwie nic nowego, ale... ale chciałem zapytać pana, czyś pan nie zauważył we wnuczce swej i w synie moim także czegoś... czegoś... czy ja wiem? Ja, panie, bardzo jestem zajęty, trochę zmęczony i rzadko bywam w domu. Nie wiem, co to jest i dlaczego, ale jakoś oni nie są tak, jak być powinni. Niby chorzy... smutni czegoś ciągle i wyglądają tak, jakby nie dziećmi byli...

Umilkł. Otocki patrzył na niego wzrokiem pojętnym i bardzo smutnym.

— Nie powiedziałeś mi pan nic nowego—zaczął po chwili—syna pana znam niewiele; ale Lusię... złota dziewczynka moja... biedna...

— Dlaczego?—z niejaką żywością zapytał pan Marceli.

Pod długim białym wąsem gorzki uśmiech przebiegł usta odźwiernego.

— Powiem tak, jak pan—ozwał się zeicha—czy ja wiem? Jestem bardzo zajęty, trochę zmęczony, i... rzadko ją widuję. Państwo macie syna przy sobie, a zgadnąć nie możecie, co mu jest. Cóż ja? przychodzi ona do mnie od czasu do czasu, pomiędzy lekcyami a uczeniem się lekcyi, na chwilę... widzę, że blada, że mi źle rośnie, że smutna i skryta, a otworzyć przed sobą jej serca nie mam sposobu. Czasem zrażam ją nawet trochę, bywam ponury, w pewne szczególniej rocznice moje; a jejby trzeba kogoś pobłażliwego i wesołego, kogoś, coby młode myśli jej i uczucia rozumiał i podzielał. Zresztą, na wszystko, panie, na wszystko czasu trzeba, a ja go nie mam nic. Pełnię gorliwie swoje i nie swoje obowiązki, byleby tylko trzymać się tu i ją wychować...

Skończył i pochylił głowę nisko, z wyrazem zgnębienia, z którym w szczególny sposób sprzeczał się energiczny, gwałtowny nawet, ruch ręki, targającej białego wąsa.

Prosty i sztywny Ryżyński podniósł się z siedzenia. Szwajcar wstał także, a gdy przez dość długą chwilę stali naprzeciw siebie, z niemem jakby pytaniem patrząc sobie w twarze, światło gazowego płomyka błyskało, drgało i śmiało się w połączonych i posrebrzanych guzikach ich ubrania.

— Więc—zaczął jeszcze Ryżyński—więc pan nie nam nie radzisz... i nie dla wnuczki swej nie

zdecydujesz się uczynić, tak, jak ja namyślić się nie mogę, co zrobić dla syna...

Uginając się jakby pod ciężarem pytań tych, Otocki padł na krzesło i, czoło ukrywszy w dłoniach, zawołał:

— Co ja mam, co ja mogę uczynić dla niej?

Potem podniósł głowę i, wznosząc wysoko oczy, jakby tam w górze oblicza lub wizerunku czygoś szukał, ciężkim szeptem wymówił:

— Romku! biedny mój Romku! co ja dla dziecka twego zrobić więcej mogę!

Pani Aniela daleko mniej od obu mężczyzn brała do serca złe wyglądanie syna i wychowanki. O północy, rzucając zaoszczędzoną złotówkę do skarbonki Julka, rzekła do męża:

— Daremnie martwisz się, Marceli, a widzę, że martwisz się, bo nawet gazeta rozerwać cię dziś nie mogła. Dzieci pracują i dlatego pewnie są czasem mizerne i trochę jakby zmęczone. Inaczej przecież być nie może. A ty nie pracujesz przez całe życie, jak wół w plugu? I ja także nie próżnuję; a jednak, ot, dożyliśmy lat naszych. Zresztą, za rok już Julek skończy gimnazjum... potem pięć lat tylko uniwersytetu i będzie z niego — człowiek. Zostanie doktorem, będzie miał praktykę ogromną i, choć bez pracy pewnie się nie obejdzie i wtedy, to jednak wcale go ona tak męczyć nie będzie. Odpocznie sobie... a kto wie?... może i my przy nim odpoczniemy trochę.

Przy ostatnich słowach zgasła lampkę, a w minutę potem już chrapała. Czy pan Marceli był uspokojony temi słowami? niewiadomo. To tylko pewna,

że w najbliższą niedzielę nie poszedł do kolegów na preferans, ale wieczór cały przesiedział z żoną i synem, usiłując zawiązać z tym ostatnim rozmowę, która nie szła jakoś. Poprostu nie przywykli byli przestawać z sobą. Zamieniali się krótkimi zapytaniami i odpowiedziami, przyczem ojciec wydawał się zmieszanym, a syn znudzonym. Skończyło się na tem, że Julek przyniósł z kuchénki książkę jakąś w szarej oprawie, z wypadającymi kartkami i czytać ją zaczął. Pan Marceli wyciągnął po książkę długą swą bladą rękę.

— Co to czytasz, Julku?—zapytał.

— Socyologię — odparł chłopak, z miną człowieka, który, wymawiając słowo jakieś, pewnym jest, że go słuchacze nie rozumieją. Jakoż pan Marceli nie zupełnie jasne miał pojęcie o znaczeniu wyrazu: socyologia. Przytem książka była niemiecka i przedstawiała dla niego zbiór niepojętych, a dziwacznie wyglądających gzygzaków. Odsunął też ją ku synowi ruchem, znamionującym zniechęcenie i, zamysliwszy się, ponuro patrzył w ziemię. Pani Aniela, która w niedzielne wieczory nie oddawała się szyciu i cerowaniu, myjąc w kuchence szklanki i składając starannie bieliznę stołową, gwarzyła z siedzącą na tapczaniku sąsiadką o cenach mięsa i jaj, o strasznym błocie, które zrana zalegało rynek, o wzrastającej drożyznie obuwia. Lusja wieczór ten, jak i najczęściej wieczory niedzielne, przepędzała u dziadka. Tym razem znalazła go w usposobieniu takim, jakie zawsze sprawiało na niej przykre wrażenie. Mówił mało, albo szklanym wzrokiem patrzył w przestrzeń, albo wpa-

trywał się w nią bystro i smutnie. Takim widywała go dotąd tylko w pewne dnię roku, o których wiedziała, że są rocznicami, przywodzącemi mu przed pamięć szczególnie wesołe lub bolesne wypadki jego życia. Dziś jednak nie opowiadał jej, jak zwykle w dniach podobnych bywało; ani o godzinie, w której otrzymał tam... tam daleko... wieść o jego śmierci, ani o pięknym Otoku, ani o swej długiej podróży. Nie była to więc rocznica żadna. Jednak, po półgodzinnej nieobecności, podczas której przyjmował przybyłych z pociągu gości, wróciwszy do izdebki i siadając przy biurku, nagle trochę zapytał:

— Czegoś ty taka mizerna? i czemu nie nie mówisz do mnie? Jeżeli chora jesteś, albo ci brak czego... możesz przecie powiedzieć mi o tem, a ja... jabym ci nieba chciał przychylić... Cóż?...

— Nie jestem chora i niczego mi nie brak — odpowiedziała.

Rzucił się na krzesło gniewnie trochę.

— Skryta jesteś — zaczął, lecz urwał nagle, jakby mu surowe wyrazy, do niej skierowane, przez usta przejść nie mogły. Natomiast wpatrzył się w nią znów bystro i mówił:

— Jesteś sierotą, bo choć masz mnie, coś ja? tyle tylko, że cię żywić i jaką-taką edukację dawać ci mogę. Wielu też rzeczy i fizycznie i moralnie braknąć ci musi. Dlatego, dziecko moje, udawaj się jak najczęściej do Ojca sierot wszystkich... módl się...

Tu urwał nagle, bo po drobnych ustach dziewczyny przeleciał szybko powstrzymywany uśmiech.

Zerwał się z krzesła, otworzył usta, jakby dla wypowiedzenia gwałtownego jakiegoś słowa; lecz, powściągając się, podniósł w górę ramiona i drżącemi rękoma zaczął poprawiać, zwiększać i umniejszać płomyk gazowy. Waleczył widocznie z gniewnem uniesieniem, od którego pierś mu dyszała mocno, a srebrne guziki granatowego surduta podnosiły się i opadały szybko. Nie, z dzieckiem „biednego Romka“, z tą jedyną gwiazdą oczu swoich, obejść się źle nie mógł, nie chciał... To też zaprzestał roboty około gazowego różka i usiadł na stołku swym; wtedy dopiero, gdy się uspokoił nieco, targając zlekka wąsa, głosem, w którym drżał zrazu tłumiony jeszcze gniew, a który potem stawał się monotonnym i gderliwym, upominać ją zaczął o zapominanie modlitwy, o tracenie wiary religijnej, o czytanie złych książek, które dzieciom przewracają w głowach... Ona słuchała w milezeniu, w zwyczajnej sobie zadumanej postawie, cierpliwie i pokornie z pozoru, lecz od chwili do chwili nieruchome jej rysy oblewał gorący rumieniec, a z ciemnych źrenic strzelały szyderskie błyski. Widać było, że burzyła się wewnątrz. On tego nie spostrzegł, i jak gniew jego przeszedł w gderanie, tak stopniowo to ostatnie stopiło się w rozrzewnienie. Pochwycił za obie ręce i, przyciągając ją ku sobie, zapytał:

— Nie gniewasz się, że tak gderam na ciebie? Kochasz trochę twego starego, nieznosnego dziadka?

Być może, iż, gdy silnem ramieniem wiotką kibić jej przyciskał do swej piersi, uczuła, jak pod liberyjnym surdudem serce jego uderzało mocno

i gorąco; być może, iż przez głowę przemknęła jej myśl, że dla niej to, dla niej tylko, przyoblókł się on w surdut ten, taki twardy i brzydki, jak niewola i służalstwo, bo gdy, patrząc w twarz jej, powtórzył pytanie:

— Czy kochasz trochę twego starego, nieznosnego dziadka?

Podniosła powieki, wymówiła:

— Bardzo! bardzo; — i, ze łzami na rzęsach, ramiona swe zarzuciła mu na szyję.

Wtedy, z krzykiem radości, porwał ją w objęcia, posadził, jak małe dziecko, na swych kolanach i, okrywając ją pocałunkami, mówić, raczej szeptać zaczął:

— Dziecko moje! może ja i wiem, czego tobie potrzeba! Potrzeba tobie do oddychania zdrowego, świeżego powietrza, przestrzeni do biegania, drzew i kwiatów, któreby odświeżyły młode twe oczy, wpatrujące się ciągle w czarne litery książek... Potrzeba tobie czulej matki, któraby cię pocałunkiem budziła i usypiała, i rozumnego ojca, któryby wiedział i rozumiał, co myślisz i jak czujesz, a myśli twe i uczucia mądrze, łagodnie, od różnych manowców tego świata odprowadzać mógł... Wiem... wiem wszystko, lecz cóż uczynić mogę... bezdomny biedak, tem tylko zajęty, aby pan Leonid Igorowicz za drzwi mnie ztąd nie wyrzucił...

Lusia całowała go w usta i w siwe włosy.

— Kocham cię, dziaduniu—mówiła—wiem, co czynisz dla mnie... kocham cię i żałuję, ale nie mogę być inną!

Nie mogła istotnie. Uczucia jej i myśli były

wrzątkiem, pomimo woli jej i wiedzy, często wylewającym się na zewnątrz; Otocki spostrzegł to tego samego jeszcze wieczora. Pomimo, że prawie była dorosłą, odprowadzając ją w późne wieczory do mieszkania Ryżyńskich, zachował on zwyczaj trzymania jej za rękę, tak, jak to czynił w latach jej dzieciństwa. Szli więc tak przez ulice miasta, dłoń w dłoni, milcząc, aż weszli na mały placyk pusty i cichy, pośród którego kiedyś, kiedyś mała Lusia zatrzymywała się, aby pokazać dziadkowi zjawiające się jej pod sklepieniem nieba widziadło rycerza: „na śnieżnym koniu i w błyszczącej zbroi“. I teraz tarcza księżycy stała pośród szafirów, a nad nią białe rozwiewne obłoki sunęły lekkim, długim korowodem. I teraz zdawały się tam szeleścić srebrne skrzydła, a z pod hełmów złocistych pochylać się ku ziemi „odważne i smutne“ oblicza. Otocki spojrzał ku górze, chciał widocznie powiedzieć coś, lecz nie śmiał, lękając się może, aby znowu pomiędzy sobą a gwiazdą swych oczu nie wywołał chmury. Jednak do mówienia skłaniała go widocznie gorzka żądza dowiedzenia się prawdy, choćby bolesnej, albo też nadzieja, że będzie mu ona pociechą i uspokojeniem. Wyciągniętym w górę palcem wskazał igrające dokoła księżycy obłoki i z drżącym uśmiechem na ustach zapytał:

— Lusi! a czy teraz widzisz tam jeszcze czasem... rycerza z Cecorskich pól?

Z okrutną nierozwagą młodości i z dumą tą, z którą młodość popisuje się tem, co uważa za swe zdobycze, zaśmiała się z cicha i odpowiedziała prędko:

— O, nie! Odkąd zaczęłam myśleć o rzeczach daleko ważniejszych, Cecorskie pola i ich rycerze całkiem zajmować mię przestały!

Nagle wypuścił rękę jej ze swej dłoni. Nie powiedział nic, tylko, gdy stanęli u wejścia do żółtej kamienicy, zamiast, jak zwykle bywało, z troskliwością niezmierną towarzyszyć jej na ciemnych wschodach, aż do samych drzwi Ryżyńskich, popchnął ją lekko ku wejściu, głucho i krótko mówiąc:

— Idź!

Po raz pierwszy w życiu rozstali się pokłócenii z sobą, z wzajemną ku sobie urazą w sercu. Ona wstępowała po ciemnych i zawrotnych wschodach sama jedna, powoli snując w głowie gorzkie i niechętnie myśli. On, śpiesznym, gwałtownym krokiem przebył placyk, lecz nagle stanął i, uderzając się w czoło, zawołał:

— Co ja zrobiłem! puściłem ją samą na takie złe wschody... jeszcze upadnie!

Odtąd w Otóckim zachodzić zaczęły zmiany widoczne. Na piękną, silną i rzeźką powierzchowność jego, wybijały się już niekiedy oznaki starzenia się i sposepnienia. Bywały chwile, w których zdawać się mogło, że na myśl jakąś pojawiającą w głowie jego ręce mu opadały w zniechęceniu, czy nieprzezwykłym smutku. Zresztą broniony dotąd przez wewnętrzne bodźce swe i pociechy od fizycznego zniedołężnienia, teraz dopiero uczuwać zaczął dolegliwie ową, z podróży przywiezioną, niemoc nogi, tak, że niekiedy poprzedzał na wschodach gości hotelowych krokiem trudnym i po-

włóczęstym, na który pan Leonid Igorowicz niechętnie spoglądać zaczynał, znajdując, że admirowana przez niego dystynkcja ruchów Otóckiego podobną staje się do niedołęstwa. Upadał też na wzroku, co przypisać było można wieloletniemu przebywaniu i pracowaniu w izdebce, napelnionej mieszaniną dziennego i sztucznego światła. Względem wnuczki bywał teraz niecierpliwy, nieufny, badawczy. W usposobieniu jej było coś, co go wciąż i srodze niepokoiło, a pewne uśmiechy jej jakkolwiek starała się ona je powściągać i wyrazić, pomimowoli często z ust jej wylatujące, miały szczególną własność drażnienia go i wywoływania w nim gniewnych uniesień. Tym ostatnim jednak nie poddawał się nigdy i można je było odgadnąć tylko po gwałtowności ruchu, jakim zrywał się ze stołka i po szczególnym, zapale, z jakim drżącemi rękoma, bez żadnej zresztą widocznej potrzeby, wznosił i umniejszał natężenie gazowego płomyka. Przy tem mrucał coś pod białym wąsem z cicha i monotennie, a usiadłszy na stołku ze zgaszonym już w piersi gniewem, rozpoczynał gderliwe, a długie upomnienia, połączone zazwyczaj z wyrzekaniami na nowy świat, teraźniejszych ludzi, nauki ich, wymysły i t. d.

Lusia nie wdawała się w dziadkiem w spory, słuchała milcząc, lub odpowiadając z rzadka cichem i z pozoru łagodnym słowem; ale przy rozstaniu zegnęła go coraz chłodniej, a przychodziła do niego coraz rzadziej i na krócej...

Raz— a miała wtedy lat już blisko szesnaście— weszła do oszklonej izdebki z zaczerwienionemi od płaczu oczyma, bardzo i widocznie rozżalona. Zapo-

minając o wszystkich goryczach swych i urazach, Otocki rzucił się ku niej z trwogą, pytaniami, pieszczotą. Zaledwie mogąc wstrzymać się od łkań, powiedziała mu, że nazajutrz Julek opuścić miał Onwil, a wyjechać w podróż do dalekiej, dalekiej stolicy.

— Cóż?—pytał Otocki—czy przywiązałaś się do niego tak bardzo, że cię rozstanie z nim tak wiele kosztuje.

— Tak — odpowiedziała — lubię go bardzo i smutno mi będzie bez niego; ale większy mi żal, gdy pomyślę, że on tam na świecie będzie żył, patrzył, uczył się, wtedy gdy ja...

Otocki zbladł.

— Czy chciałabyś—zaczął zwolna—czy chciałabyś żyć tam, dokąd on jedzie?

Z naiwnem samolubstwem młodości zawołała żywo:

— O tak! tam, czy gdzieindziej, byle nie tu, byle nie tu!

Opasujące kibić jej ramię Otockiego opadło. Chciał coś powiedzieć; rumieniec trysnął mu na zorane czoło; ale, jak zwykle, dla niej i przy niej powściągnął się i, tylko wzniosłszy ku gazowemu płomykowi oczy, pełne stalowych błysków, mrugał powiekami tak szybko i uparcie, jak gdyby chciał powstrzymać łzy, albo jakgdyby oślepl nagle i przejrzyć usiłował.

Julek przed miesiącem otrzymał od zwierzchności szkolnej tak zwane świadectwo dojrzałości i wyjeżdżał do stolicy, w celu uczęszczania na kursa medyczne w istniejącej tam Akademii. W przeddzień

wyjazdu jego, sine ściany małej sypialni Ryżyńskich były świadkami sceny następującej. Około północy, pani Aniela zdjęła ze ściany skarbonkę z białą kartą, noszącą napis: „Dla Julka na uniwersytet“, i z rodzajem nabożnego uszanowania postawiła ją na stole, przy którym siedział pan Marcelli, zapominający w dniu tym nie tylko o czytaniu gazety, ale nawet zamienieniu surduta z pozłacanemi guzikami na wygodny szlafrok. Kiedy oboje, pochyleni nad skarbonką, otwierali ją wspólnemi siłami, twarz kobiety oblaną była silnem wzruszeniem, napół radośnem, napół jakby uroczystem, a długie, suche ręce męczyzny drżały tak, że dla spełnienia łatwej roboty swej potrzebował minut kilku. Tymczasem, nakształt złoczyńców, zabierających się do rozglądania nieprawych łupów, zamieniali się oni urywanemi i tajemniczymi szeptami:

— Ile tam być może?—zapytywała kobieta.

— Nie wiele pewno.

— Może nie wystarczy?

— O, gdyby mu przynajmniej na parę lat była pomoc jaka!

Tu roztworzyła się ściana skarbonki, i na stole zabrzęczały wysypujące się na niego monety.

O! jakże tego było tam wiele i zarazem jak mało! Złotówki srebrne, miedziane dziesiątki i czworaki, trochę zmiętych rublowych banknotów, okryło sobą część stołu i widokiem swym wprawiło panią Anielę w pełne radości osłupienie.

— Dużo! bardzo dużo!—zawołała ze splecionemi dłońmi i wzrokiem, wlepionym w dziedzictwo syna.

— Bardzo mało!—szepnął pan Marcelli, i gorzki uśmiech przebiegł mu po wąskich wargach i wygolonych błyszczących policzkach.

Zaczęli liczyć powoli, uważnie, w milczeniu, raz tylko przerwanem głośnym okrzykiem pani Anieli, gdy wśród miedziaków błysnął różowy, wartość dziesięciu rubli przedstawiający papierek. Żadna marząca wesoła dziewczyna nie powitała pierwszej róży wiosennej z tak rozkosznym uśmiechem, jakim był ten, który oblał twarz kobiety na widok tej zgniecionej szmatki.

— Zkąd to? — zapytała, i bystro spojrzała w twarz mężowi.

On odpowiedział:

— A wtedy... kiedy to, pamiętasz, otrzymałem gratyfikację i zostawiłem u siebie tę asygnatkę... na cygara...

— Cóż? a cóż było z cygarami?

— Nie paliłem ich wcale przez czas jakiś.

— A!—zawołała—i mówiłeś mi wtedy, że cię gardło boli!—Uśmiechnął się tak blado i sucho, jak uśmiechał się zwykle. Lecz ona patrzyła na niego z uszczęśliwieniem niewymownem.

Koniec końców, oszczędności Ryżyńskich, przez lat dziesięć na rzecz syna czynione, wynosiły sumę rubli około trzystu. Zebraną ona być mogła cudem prawie.

Na parę godzin przed odejściem na północ pociągu kolejnej, pan Marcelli, który po raz pierwszy odkąd zostawał w służbie rządowej, dnia tego do biura nie poszedł, zawołał syna do małej sypialni i oddając mu paczkę asygnat, mówić zaczął:

— Oto wszystko, mój Julku, co mogliśmy zrobić dla ciebie. Oddaliśmy cię do szkół i po groszu zebraliśmy sumkę, której połowę daję ci teraz, a połowę chowam u siebie na pierwsze zapotrzebowanie twoje. Jest to bardzo mało, ale w naszym położeniu... wiesz...

Zatrzymał się, pomyślał trochę i mówił dalej:

— Posyłałem cię do szkół i posyłam teraz do uniwersytetu, dlatego, że doświadczyłem, jak złe jest żyć, nie mając możności dążenia do wyższej kariery, do lepszego i łatwiejszego bytu. Ja tej możności nie miałem i dlatego jestem, czem byłem, i będę, czem jestem... a to ciężko. Jednak...

Zawahał się i po chwili dopiero kończył:

— Jednak, być może, że byłem do czegoś więcej zdolny; że za młodu miałem więcej, niż teraz, myśli w głowie, bystrzejsze pojęcie, więcej siły i ochoty do wszystkiego. Ale uzdolnienie, które otrzymałem, i okoliczności, które mi w drodze stały...

Tu wstał, wyprostował się, zgasłe oczy jego błysnęły.

— O! te okoliczności — zawołał pełnym i dzwiecznym głosem—one to mi najbardziej stały na drodze, przykuły do jednego miejsca, znękały wiecznem upokorzeniem, strachem... Ja chcę, abyś ty silniejszym był od okoliczności tych; abyś był niezależnym od nikogo i od niczego; abyś miał nadzieję i nigdy, nigdy nie mówił sobie: jak było, tak jest, jak jest, tak będzie...

W chwili tej, uroczystej dla niego, zbudził się w nim człowiek takim, jakim kiedyś być musiał,

jakim być mógłby; wielkim głosem krzyknął w nim ojciec, pragnący przedewszystkiem uchronić syna od ciemnej, niskiej, beznadziejnej doli. Z twarzą zarumienioną i rozgorzałym okiem, w obie dłonie ujął głowę syna i, ciskając ją do swej piersi, po wiele razy powtarzał nad nią:

— Ucz się, Julku, ucz się, abyś mógł zrobić karierę, abyś mógł iść, iść z nadzieją, że zajdziesz!

Pani Aniela przy rozmowie tej obecną nie była.

W kuchence, nad kuferkiem Julka schylona, uśmiechając się i płacząc naprzemian, układała ona małą wyprawę syna, bacząc starannie, aby wszystko w niej było całe, i czyste, i mocne. Tam, dokąd jechał, panowały długie i ostre zimy: pani Aniela więc przyspasabiła oddawna, a teraz zaopatrywała go we wszelką, możliwą dla niej do otrzymania, ciepłą odzież.

Ojciec mówił mu o karierze i nauce dla kariery, matka myślała o tem, aby się nie zaziębił...

Rok minął. Niezwykły ruch panował w małej bawialni Ryżyńskich. Obchodzono tam uroczystość podwójną; przyjazd Julka ze stolicy na wakacje i szczęśliwe ukończenie przez Lusie nauk, a zarazem i lat siedemnastu. Żółte ściany nigdy jeszcze nie wyglądały tak wesoło. Słońce letnie rzuciło na nie przez małe okna kilka promieni, w których światło czerwienilo się jaskrawe różę, zdobiące cyferblat starego zegara, a mosiężne wahadło wydawało się złotem. Przed starożytną kanapą, przy stole, zastawionym wyjątkowo wspaniałym, bo aż z trzech potraw złożonym, obiadem, siedziało osób pięć, z któ-

rych jedną był Otocki. Siedział on, plecami zwrócony do okna, gdyż od czasu pewnego oczy jego, nawykłe do zmroku i sztucznego światła, z trudnością wielką mogły znosić blask dnia i słońca. Uwalniając się na parę godzin od zajęć swych, nie miał on snadź czasu zmienić hotelowej liberyi na ubranie inne, lecz dziś nie zdawała mu się ona wcale być ciężką, lub przykrą. Poprostu zapominał o niej, tak, jak zapewne o wszystkim na świecie, co nie było tą młodą dziewczyną z lnianym warkoczem nad białym czołem, która siedziała naprzeciw niego, w szczególny u niej sposób ożywiona i radosna, a na którą patrzył on wciąż swemi, chorobliwie mrugającymi, lecz pełnymi szczęścia, oczyma.

Ona za to całą uwagę swą zwracała na młodego człowieka, który, pomiędzy panią Anielą i panem Marcelim siedząc, ich też twarze, jak słońce oblicza słoneczników, ku sobie zwracał.

Był bardzo przystojnym, jakkolwiek przez rok ubiegły bardziej jeszcze schudł i pobrał. Piękne i delikatne rysy jego okryły się wyrazem życia i ruchliwości, oczy nabrały blasku, giesta energii i pewności siebie, która, w towarzystwie innem, wydawałaby się mogła rubasnością, lecz w otaczającym go kole budziła podziw, zmieszany z uszanowaniem. Mówił wiele o stolicy, o wspaniałościach jej i różnorodnych stosunkach, lubując się widocznie wrażeniem, które sprawiał na obecnych, a które wyrażało się u pani Anieli szerszym, niż kiedy, pełnym zachwyty uśmiechem, u pana Marcelego — nieśmiałą, lecz pilną uwagą, z jaką go słuchał, u Lusiego zaś — gradem zapytań, któremi go obsypywała.

Jednak, pomimo swobody tej humoru i niewidywanego w nim dawniej zadowolenia, od czasu do czasu na powierzchność jego wybijały się objawy innej całkiem natury. Zbyt głośny i rubaszny śmiech jego urywał się czasem, czoło chmurniało i zbiegało się pomiędzy brwiami w grube fałdy, oczy nieruchomiały i spuszczały się ku ziemi. W chwilach takich wydawał się srogim, ponurym i o wiele starszym, niż był istotnie. Potem, jakby budził się ze snu, podnosił wzrok, uśmiechał się i obu dłońmi burzył, gęste jak las, a długie aż po ramiona, swe włosy. Przyglądając się wciąż synowi, pani Aniela ze śmiechem zawołała:

— Juleczku! dlaczego nie kazałeś sobie włosów ostrzyżć?... nikt przecież nie nosi takich długich włosów?...

— Dlatego właśnie ja noszę i nosić będę—odpowiedział młody człowiek tonem, repliki niedopuszczającym.

Pani Aniela o replikowaniu nie myślała, lecz w kilka minut później zawołała znowu:

— Juleczku! dlaczego, zmieniając ubranie po drodze, nie włożyłeś czystej koszuli? przecieżem wyjęła ją z kuferka i razem z surdudem położyła.

Zachmurzył się i z niecierpliwością odrzucił:

— Ależ, moja mamó! nie pojmuję, jak można zwracać uwagę na wszystkie te drobnostki! Cierpieć ich nie mogę i pewnie sił i życia na nie tracić nie będę. Potrzebniejsze są one na rzeczy ważniejsze...

— O tak!—z zapalem zawołała Lusia, poczem jednak z namysłem dodała: — Jednakże, pamiętasz

Julku! czytaliśmy kiedyś o tem, że stopień cywilizacji kraju odgadnąć można po ilości zużywanego w nim mydła...

Wlepił w nią długie, szyderskie trochę spojrzenie i odpowiedział zwolna i dobitnie:

— Kiedy wszyscy ludzie na świecie będą mieli chleb, nam wolno będzie myśleć nie tylko o mydle, lecz choćby o perfumach. Dlaczegoż nie? Perfumy są rzeczą przyjemną i batystowa bielizna przyjemniej głaszcze skórę, niż grube płótno... Szkoda tylko, że wszyscy ich mieć nie mogą... a trzeba... żeby mieli...

Lusia zarumieniła się, spuściła oczy i szepnęła z cicha:

— To prawda!

Julek zwrócił się do Otockiego, prowadząc dalej przerwana przed chwilą rozmowę.

— Nie zazdroszczę panu — mówił — częstego widywania tych ludzi, którzy chmarami zwykle spadają na wielkie hotele, aby roztaczać tam cały blask bogactw swych i tytułów...

Otocki czuł się widocznie zmieszonym nieco, z rozwagą jednak odpowiedział:

— Ależ bywają niekiedy pomiędzy nimi ludzie nieźli i dobrzy...

— A ja—porywczo zawołał młody człowiek—ja! ja!—powtórzył—zaręczam panu, że są to pozostałości czasów minionych, wstrzymujące pochód ludzkości i które ludzkość...

— Juleczku!—zawołała nagle pani Aniela—co też ty mówisz? Są to przecież ludzie możni i tacy rozumni...

Tu i pan Marceli powoli mówić zaczął:

— Rzeczywiście! rzeczywiście! ja sam widuję czasem wielkich panów, przychodzących do biura z interesami. Niektórzy z nich są bardzo grzeczni, a przytem tak im jakoś łatwo o wszystkim mówić, z każdym się obejść...

Julek uśmiechnął się wzgardliwie i zwrócił się do ojca:

— I ojcu nigdy nie przyszło na myśl, że różnice, zachodzące pomiędzy położeniem ich i ojca, są krzyczącą niesprawiedliwością?

Pan Marceli ze zdziwieniem popatrzał na syna, a gdy nakoniec wyrozumiał myśl jego, wzruszył zwolna ramionami i odpowiedział:

— Nigdy nie zazdrościłem nikomu...

— Zazdrościć—z gięstem przerażenia zawołała pani Aniela,—Juleczku! jak można przypuszczać, aby ojciec twój pożądał cudzego dobra?

Z odcieniem niecierpliwości, doznawanej zwykle przez ludzi, którzy czują się niezrozumianymi, syn odrzucił:

— Ależ, moja mamol! co to jest: cudze dobro? Ziemia jest wspólną własnością... Ale, po co ja o tem mam tu mówić? Tu nikt nie rozumie rzeczy takich, ani się niemi zajmuje. Ojciec i mama spleśnieliście w swoim ciasnym, mieszczańskim życiu i, aby zrozumieć nowy świat i nowych ludzi, braknie wam już siły...

Pani Aniela szeroko otworzyła oczy i usta; pan Marceli spojrział na syna i, ze wzrokiem wlepionym znowu w talerz, z cicha wymówił:

— Nie powiedziałeś mi nic nowego... wiem

o tem dawno, że jestem ciemny i głupi... wolałbym jednak, abys ty mi tego nie mówił...

Otockiego oczy błysnęły, jak stal.

— Niepięknie — rzekł półgłosem — niepięknie jest i niedobrze w sposób taki do rodziców mówić!

Julek ściągnął brwi. Wyraz twarzy jego stał się srogim i ponurym, a postawa wyglądała pełną obrazy.

— Gdzie idzie o prawdę—wyrzekł niechętnie— tam nie powinno być względów żadnych... Rodziców oświecać należy, tak samo, jak innych ludzi...

Otocki był wzburzony.

— Tylko, że oświecanie to zapóźno już przybywa!—zawołał.—Niemłodzi są, zmęczeni, spracowani... korzystać długo z lekcji syna nie będą!...

Pan Marceli wstał nagle i ruchem, niepospolicie u niego żywym, wyciągnął rękę ku Otockiemu.

— Prawdę pan powiedziałeś!—rzekł—nie długo... bo i po cóż?

Spojrzał na żonę, której silne rumieńce zbłądły jakoś w tej chwili, a zwiędłe usta drżały.

— No, no!—rzekł powoli—nie martw się tylko, Anieleciu! On nie przez złe serce... tak sobie... młode piwko...

— Ależ przepraszam!—zawołał Julek — zapominałem, że tu z każdym słowem liczyć się trzeba... Przywykłem już do innego życia... przepraszam! Rodzicom ubliżyć nie chciałem... po cóż komukolwiek ubliżać?

Pani Aniela, płacząc, rzuciła się na szyję syna.

— Myśmy cię zawsze tak kochali!... ojciec tak

myślał zawsze o twojej przyszłości!... Co my na świecie mamy oprócz ciebie?

W objęciu matczynem zmiękł i złagodniał. Po-całował matkę w rękę i, jakby pragnąc zakończyć scenę, która go nudziła, mówić zaczął o czem innym. Z pewną przesadą zwrócił rozmowę ku naj-blaższym i najpowszedniejszym przedmiotom. Opo-wiadał o śniegach, które zeszłej zimy w obfitości wielkiej spadły na stolicę i o używanym tam spo-sobie jeżdżenia saniami.

Otoci pierwszy zerwał się od stołu, pochwycił czapkę z galonem i, czule uściskawszy wnuczkę, a wszystkich śpiesznie pożegnawszy, wybiegł.

Wkrótce potem pan Marceli wysunął się do sypialni, a pani Aniela wyszła do miasta po bułki i mleko do herbaty; Julek i Lusia zostali sami. Stali chwilę u okna, u tego samego okna, przy którym siadywali przez długie lata dzieciństwa swego, przy-tłoczeni dusznem powietrzem ciasnego mieszkania, znudzeni żółtymi jego ścianami, podobni do dwóch ptaków o nastrzępionych piórach, które przez szczeli-ny klatki swej wyglądają na świat, dojrzeć go nie mogąc i, Bóg wie, jakie dziwy o nim sobie roją. Teraz, jakże zmienionymi byli oboje! On kipiał ca-ły życiem, energią i zuchwałą śmiałością. Chwila-mi chmurny i ponury, wydawał się przecież uspo-sobieniem młodzieńczej nadziei i nieograniczonej ufności w obietnice świata i siły.

Ona, szczupła i drobna, w kształtach swych i ruchach miała słabowity wdzięk kwiatów, urodzo-nych pod chmurnem niebem i już w chwili rozkwi-tu przywiedłych. Bładość, okrywająca drobne jej

rysy, zabarwioną była żółtym odcieniem, przy któ-rym ostro odbijały lnianopłowe włosy, jednym gru-bym spletem owijające małą jej głowę. Wśród bla-dości tej i pod tym jasnym warkoczem, ciemne jej oczy płonęły przytłumionym blaskiem; uśmiechała się rzadko, a w zarysie bladawych warg jej tkwił rozmarzony, nieledwie ekstatyczny wyraz. Wogóle znać w niej było jedną z organizaeyi tych, które, wytwarzane przez pewne właściwości czasu i miej-sca, krew mają bladą, a jednak wrzącą pod sma-gającym ją biczem wyobraźni, mięsny, znikające pod niszczeniem działaniem nerwów, drgających kon-wulsyjnie pod wpływem najłżejszego choćby wra-żenia. Lekarz i psycholog na widok jej zawołaliby zarówno: ratunku dla istoty tej, ze zwicniętą rów-nowagą władz ciała i ducha! dla harfy tej, której struny jedne śpiewają zbyt głośno, a inne śpią w niemem milczeniu!

Śmiało i badawczo patrzyła w twarz towarzy-sza swego i ze szczupłymi ramiony, skrzyżowanymi u piersi, z wolną, z cicha mówić mu zaczęła, jak bardzo szczęśliwą czuje się tem, że tu przybył, że o mnóstwo rzeczy zapytać go na koniec może i po-wierzyć mu tysiąc myśli, które przychodzą jej do głowy, a o których mówić niema tu przed kim.

On usiadł, jak mógł, najwygodniej, na twar-dem rodzicielskiem krzeselku, drugie umieścił w ten sposób, aby na niem w całej długości nogi swe móżdż rozciągnąć i w postawie tej, zaniedbania peł-nej, papierosa paląc, patrzył na nią przyjaźnie, lecz więcej jeszcze ciekawie.

— Biednaś ty!—zaczął, gdy mówić przestała.—

Istotnie, wielka to bieda siedzieć w tych ciasnych, żółtych ścianach, pomiędzy tymi ograniczonymi i wpółumartwionymi ludźmi, kiedy świat szeroki tak piękny i bogaty, tak pełen ruchu, życia, przyjemności rozmaitych, ha! i myśli także i usiłowań, aby te wszystkie piękności i przyjemności w jaknajwiększej sumie osiągnąć i jaknajszerzej ich użyć...

Zarumienił się gorąco.

— Pamiętasz—ciągnął—nasze nocne czytania i dysputy, tam, w kuchni? Pamiętasz, jakeśmy sobie łamali głowy nad różnemi rzeczami? Ja aż zgrzytałem zębami, a ty aż płakałaś z żalu i gniewu nad tem, że jesteśmy tacy osamotnieni, że nikt nam w labiryncie tym ręki nie podaje i do prawdy, do wiedzy nie wiecie? Otóż wiesz, po roku, przeżytym wśród innego świata, innych ludzi, ja nie szukam już, nie walczę i nie skarżę się na samotność. Rok ten wydaje mi się wiekiem, który mnie od przeszłości oddzielił. Znalazłem prawdę, ha! sto prawd, wspaniałych i pięknych, jak marzenie; wiem wszystko, rozumiem wszystko, otrząsałem się z pleśni przesądów i głupich urojeń, znienawidziłem do reszty ten stary świat, pełny niesprawiedliwości i głupstwa... jestem człowiekiem nowym!...

W miarę, jak mówił, Lusja coraz głębiej wlepiła wzrok w ożywioną twarz jego.

— Szczęśliwy! szczęśliwy!—zawołała z namietnem uniesieniem i, rozplótłszy ramiona, obie dłonie do czoła podniosła.

Julek ochłonął już, zarzucając stopy aż na poręcz krzesła, a, niby grzywą, wstrząsając długimi włosy, zapytał:

— A ty? co z sobą uczynić zamierzasz? gdzie i jak żyć będziesz?

Lusja spochmurniała i z wolna opuściła się na krzesło.

— Albo ja wiem?—szepnęła—atostat skończenia nauk mam... jakich tam nauk! ty wiesz... Ale lekye języków i innych tam rzeczy dawać mogę i pewnie będę.

Julek patrzył na nią z ironią i wstrząsnął głową z politowaniem.

— I cóż, dalej?—zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— A cóż nie...

— Nic dalej! Posiwiejesz, lekye dając! To wesoło. Ale... jaka z tego korzyść wyniknie?

— Kawałek chleba dla dziadka i dla mnie — odpowiedziała chmurnie i ze spuszczonei oczyma.

— Kawałek chleba, do którego nawet masła nie będzie. To wiele! No, a dla ogółu, to jest dla ludzkości, dla idei, dla postępu, co?

Lusja kureczowo spłotła dłonie i za ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nic.

On za to zaśmiał się głośno, rubasznie i pogardliwie:

— Otóż-to—zaczął po chwili — mieszczańskie szczęście wasze!... skończyć pensję, włożyć długą suknię, chodzić od domu do domu, aby różnych bzdurstw nauczać dzieciaki, potem wyjść za mąż, za jakiego na przykład kancelistę, który co dzień o jednej godzinie chodzić będzie do biura, spać i jeść, a tobie każe przez całe życie gotować obia-

dy i wieczorami latać starą bieliznę... Szczytne marzenia i wielki, doprawdy, plan życia!...

Lusia rumieniła się i bladła z kolei.

Julek, po chwili szyderczego patrzenia w spłonioną jej twarz, mówił dalej:

— A może... może zdarzy ci się wyjść za mąż bogato... niebrydka jesteś... owszem, ładną nawet jesteś... i tego bym ci najwięcej powinszował; bo jeśli zmarnujesz się dla ludzkości, to choć sama odżyjesz... Ale ja ciebie znam... ty bogatego męża łąpać sobie nie będziesz... lada dzień spotkasz gdziekolwiek, na ulicy, w kościele, w jakich żółtych ścianach, młodzieńca, obdarzonego przez naturę ładnymi wąsikami i talentem do zawracania głów dziewczętom, zakochasz się w nim, on się w tobie zakocha, książdź zwiąże wam ręce stulą i zaczniesz... zaczniesz dla was to, jak je tu nazywacie, rodzinne życie, pełne garnków, kołysek, kłótni... i pracy tej, co w oczach naszych, w oczach nowych ludzi, jest samolubnem i daremnem marnowaniem sił i czasu...

Tu umilkł, bo Luscia pochwyciła go za obie ręce.

— Julku! — zawołała — nie szydź ty ze mnie, nie pomiataj tak moją przyszłością... ja na to nie zasługuję! Byłam towarzyszką twoich prac i myśli dziecinnych; czuję, że i teraz godną jestem, abyś mówił do mnie na seryo i dzielił ze mną wiedzę swoją... A wierz mi, ja niczego nie pragnę, tylko uczyć się, wiedzieć... ach, wiedzieć wszystko i żyć wzniosłe, żyć wszystkimi siłami, które czuję w sobie... Wiesz? Przez ten rok, gdy ciebie tu nie było,

uczyłam się, jak mogłam i czego mogłam, czytałam, myślałam... Nie mając z kim rozmawiać tak, jak z tobą tylko rozmawiałam, noce całe leżałam nieraz, nie śpiąc i patrząc w ciemności, na których tle zjawiały mi się dziwne obrazy... ale nie takie, nie takie, o jakich tylko co mówiłeś... Widywałam walki jakieś krwawe, potężne, wiedzione przez rycerzy, którzy nieśli sztandary z wypisanemi na nich wielkimi słowy; widywałam jakieś tłumy blade i znędniałe, wyciągające ręce ku niebu, na którym powoli, powoli, rozpalało się ogromne słońce, z wyrazem *sprawiedliwość* na łonie; widywałam stos jakiś gorejący, jakby ten, na którym umierali: Joanna d'Arc, Giordano Bruno i inni, i siebie na stos ten wstępującą, a taką szczęśliwą, jaką nie czułam się nigdy, nigdy... Julku, ja nie chcę, ja nie mogę kucharką być, ani próżniaczką... latać łachmanów ubóstwa, ani zjadać chleba bogactwa niezapracowanego i niedzielnego z tymi, którzy biedni... głodni!... Za mąż iść? nie myślałam nigdy o tem i nigdy też, nigdy nie będę wykręcała się przed lustrem, jak te głupie dziewczyny, koleżanki moje, którym to tylko w głowie i na sercu. Ani ja młodych ludzi kokietować, jak one, nie umiem... Patrzę na nich, ot, tak samo zupełnie, jak na te żółte ściany, bo są oni tak samo szpetni i tak samo nudni... Ja chcę uczyć się, wiedzieć, żyć... nie tak, jak wszyscy żyją, ale wyżej jakoś, wyżej, goręcej, i — umrzeć, choćby młoda, choćby męczeńską śmiercią, ale za kogoś drogiego... za coś wielkiego!...

Dalej mówić nie mogła, bo zabrakło jej odde-

chu. Zdyszana i cała drżąca, wznosiła w górę oczy rozgorzałe i topiące się w łzach. Julek patrzył na nią długo, ze zdziwieniem i zachwyceniem zarazem.

Nagle zawołał:

— Ależ śliczna jesteś, naprawdę! No, no! pierwszy raz spostrzegłem, że masz takie cudne, ogniste oczy i w całej sobie coś... coś takiego...

Nie dokończył. Nie umiał określić nazwą zadną czaru tego, którym w tej chwili oblała się przed nim postać tej dziewczyny. Nie pochodził przecież czar ten z czego innego, tylko z niezmiernego zapалу jej, który ją całą napelniał i jakby podnosił, a był tem gwałtowniejszy, że cele, ku którym wzbierał, były nieokreślone, że, jak istnieje w świecie naiwna wiara i miłość, tak w niej istniały naiwne, przedmiotów swych nieświadome, pragnienia. Nie mógł przecież nie rozumieć, że u samego źródła swego pragnienia te były szlachetne. To też po chwili dodał:

— I nietylko śliczną jesteś, ale także rozumną i pełną dobrych chęci dziewczyną!

Ona przecież obojętnie przyjęła pochwały jego. Nie przyjmowała nawet, bo nie słyszała ich wcale.

— Julku!—mówiła ze złożonymi dłońmi i prośbą w oczach — mów, mów mi o wszystkim, ucz mnie, kieruj mną... tyś taki rozumny, tyś tyle już nauczył się, widział, żył...

Zamyślił się na chwilę. Uśmiech głębokiego zadowolenia igrał na ładnej jego twarzy. Czuł, że stawał się, po raz pierwszy w życiu, mistrzem czyimś, że rozpoczynał czynność apostolską i propagatorską

o której zaszczytach i potrzebie tyle słyszał, ku której czuł pociąg wielki, która zadawała i dumę jego, i to, co mienił przekonaniami swemi.

— Pocóż więc—rzekł—prawiłaś mi o jakichś lekcjach, które dawać będziesz i o jakimś kawałku chleba dla siebie i dziada?

Patrzac w ziemię, odpowiedziała:

— Cóż? jestem biedną i mam dla dziadka obowiązki.

— Obowiązki! — przerwał Julek i zaśmiał się znów głośno i wzgardliwie.

Zarazem zdjął nogi z poręczy krzesła, wyprostował się i, wstrząsając długimi włosami, zawołał:

— O, moja droga! jeżeli takimi są wyobrażenia i przekonania twoje, radzę ci jaknajprędzej starać się o lekcye, a zarazem rozpocząć studia osoby swej przed lustrem...

Lusia była przełęcznioną i zawstydzoną bardzo.

— Julku! — zaczęła cicho i prędko — dziadek był dla mnie bardzo dobry, wyhodował mnie, pracował na mnie; gdy zestarzeje i pracować przestanie, czyż nie będzie obowiązkiem moim...

— Daj pokój!—przerwał z wyższością w głosie i postawie — daj pokój, bo aż mnie uszy bolą... Czyż nie rozumiesz, że, mówiąc o obowiązkach względem niedołęznego i na nie światu niepotrzebnego starca, powtarzasz pacierz za panią matką, a zapominasz o tych wielkich i rzeczywistych obowiązkach, które każdy z nas, ludzi nowych, ma dla ludzkości... Ludzkość, to idea, rozumiesz? to miliony, to ogół! cóż wobec niej znaczy jednostka i to jeszcze taka?... Pragniesz żyć wzniosłe i choćby

umrzeć za coś wielkiego, a mówisz o oddaniu całej siebie dla spełnienia obowiązku względem jednostki... Niema w tem sensu, moja droga; jesteś jeszcze pod wpływem przesądów i przestarzałych wyobrażeń... Zrozumiesz to wkrótce sama; a teraz, chodź na spacer! Wieczór piękny, przejdziemy się, a czasu nie stracimy; bo w drodze opowiem ci, wytłumaczę wiele ciekawych rzeczy.

Poszli i w tej już pierwszej wspólnej przechadzce zwrócili na siebie uwagę ulicznych przechodniów. Długie włosy Julka, rozsypujące się po kołnierzu paltota, a także niedbałość ruchów jego i wyzywająca wzgardliwość, z jaką rozglądał się dokoła, nadawały mu pozór człowieka niespełna przytomnego, albo awanturnika, szukającego zaczepki.

Lusia znowu, ażeby towarzyszowi swemu dowiedzieć, jak bardzo nie dbała o strój i powierzchowny swój wygląd, zamiast kapelusza, zawiązała na głowę jakąś zmiętą chusteczkę, ręk nie okryła rękawiczkami i pozwoliła warkoczom swym swobodnie spływać na plecy i piersi. Od młodej i pięknej pary tej wiały w tej chwili: nieporządek i lekceważące pomiatanie wszystkim, co ją otaczało. Ludzie też oglądali się za nimi, niektórzy przecież bez zadziwienia. Byli to ci, którzy podobnych do Julka młodzieńców widywali już nieraz i wiedzieli, z kąd młodzieńcy Onwilscy przywożą długie swe włosy i wzgardliwe postacie, surowe czoła, a pod niemi zbyt błyszczące oczy... Julka zajęcie, które spostrzegł pośród publiczności onwilskiej, cieszyło i bawiło; ale Lusia nie widziała dokoła siebie nic

i nikogo. Wszystkie władze jej istoty zbiegły się w organie słuchu. Julek, przez cały czas przechadzki, mówił do niej o czemś, z zapalem i ironią naprzemian, z szerokimi gestami, niekiedy szeptem, pełnym namaszczenia i tajemniczości...

Od dnia tego codziennie odbywali długie przechadzki we dwoje. Najczęściej, aby mózdz swobodnie rozmawiać, wychodzili za miasto. Szli prosto przed siebie, wstępowali na śliczne wzgórza, otaczające Onwil; deptali łąki, z nad których wzbijał się mocny zapach skoszonych traw; mijali pola, płonące złotą falą dojrzałych zbóż; przesuwali się pod cieniem sosnowych borów, albo towarzyszyli szmerzącym, spokojnym, błękitnym falom rzeki. Lecz dla natury, która, gdy tylko wyszli z opylonych i skwarnych ulic miasta, otaczała ich wielkiem kołem piękności swych i ukojeń, ślepi oni byli i głusi. Kwiaty, które deptali, ptaki, które śpiewały nad ich głowami, złote kłosy, klониące się niby do stóp zachodzącemu słońcu i samo to topienie się światła dziennego w morzu purpury i złota, widywali oni dotąd tylko na kartach książek, które przedstawiały je w opisach lub niedołączonych rysunkach. Umieli oni to wszystko, lecz nic z tego nie znali i--nie kochali, nie też z tego nie wywierało na nich oświeżających i kojących wpływów. Dzieci prawie, mijali kwiaty i ptaki, i malownicze widoki, z powagą i obojętnością mędrców, lub mędzów stanu, którzy, łosy świata w głowach swych ważąc, lub na barkach niosąc, ku drobiazgom życia i natury, choćby najczarowniejszym, lub najbardziej nauczającym, zniżać się nie chcą i nie

umieją. I w istocie, dla wszystkiego, co powszedniem było, nie okazałem, nie wabiłem wzroku i wyobraźni wyniosłością szczytów swych, lub jaskrawością barw, Julek wyznawał pogardę bezwzględą.

O zajęciach i pracach codziennych, jednostki tylko ludzkie na celu mających, zarówno jak o cnotach i poświęceniach cichych, dokonywających się w obrębie ścian domowych i kółek rodzinnych, mawiał: dzieciństwo! Przestrzeń wszelką, ograniczoną do jednej okolicy jakiejś, do jednego kraju, nazywał: zakątem, parafą, albo nawet więzieniem. Zdawało się, że wciąż i z siły całej wyteżał władze wzroku i myśl, aby ogarnąć mózgiem niemi od krańca do krańca całą kulę ziemską i, pomijając stopnie wszystkie, najwyższych szczytów pojęć i pragnień ludzkich dosięgnąć. Wahania się wszelkiego i stopniowania, wazenia idei na szalach rozwagi i przymierzania ich do niezliczonych kantów i załamów rzeczywistości, nie używał nigdy. Po prostu nie przychodziły mu one na myśl, nie znał ich, nie rozumiał i—nie chciał. O wszystkim wiedział na pewno, wszystko rozstrzygał stanowczo, do najostateczniejszego końca, z absolutyzmem wiary, nie znającej zwątpienia i doskonale z siebie samej zadowolonej wiedzy.

W osobistych ambicyach swych i marzeniach zarówno jak w ogólnych, nie ograniczał się do rzeczy małych, lub chociażby miernych. Stałe, prawidłowe pełnienie społecznej funkcji jakiejś nazywał niewolnictwem i daremnem marnowaniem sił. Czuł się powołanym do działań na szeroką skalę,

do misji apostolskich, mających na celu zbawienie, lub, co najmniej, reformowanie ludzkości, do czynów rozgłośnych, jak pioruny, świetnych, jak błyskawice, przed którymi, jak przed tymi potężnymi zjawiskami przyrody, ludzie musieliby upaść na klęczki, zdumieni, wielbiący, pokorni. Gdy mówił o przyszłym stanowisku swem społecznym, marzył głośno o hołdzie powszechnym i zarazem o olbrzymiej radości, płynącej z uszczęśliwienia milionów.

Zarówno namiętnie i szczerze pragnął szczęścia dla ludzkości i chwały dla siebie; obok zaś chwały purpurowej, przed wyobraźnią jego zawsze i nieprzeparcie zjawiało się złote bogactwo; nie żadne inne. O srebrnym dostatku, ani tem bardziej o miedzianej biedzie, nie mógł myśleć dla innych bez litości, dla siebie—bez obrzydzenia. Snuły mu się wciąż po głowie marmurowe pałace, Lukullusowe uczty, błyskawiczne jazdy i wszelkie możliwe wytworności przemysłu i sztuki, na które przez rok ubiegły napatrzył się był, lub o których był się nasłuchiwał w stolicy.

Samotnie używać wszystkich tych wyrafinowanych rozkoszy ciała i ducha Julek nie chciał; samotne używanie takie odrzuciłby od siebie z obrzuceniem. Pragnął, ażeby ludzkość całą, całuteńka używać ich mogła z nim włącznie i wierzył mocno, niezłomnie, iż byłoby to rzeczą możliwą, gdyby na zawadzie temu nie stali ci i owi, to i owo... Czuł się skrzywdzonym w ludzkości i w sobie, dla ludzkości i dla siebie: mówiąc o ludzkości, mówił o sobie i nawzajem. Łzy nabiegały mu do oczu, gdy patrzył na ludzi, pracujących znośnie, w ubraniu

ubogiem i ze znużonemi twarzami; ściszał pięści z wściekłością ilekroć mówił, lub myślał, o tej olbrzymiej przestrzeni, która byt jego oddzielała od bytu bogaczy i potężnych świata tego. Widma powszechnego i osobistego szczęścia i użycia ściagały go wszędzie, upajały mózg jego, lechtały fantazyę i w drżenie wprawiały nerwy, a tak ściśle z sobą związane były, że rozpoznać i rozdzielić ich nie mógł.

Szczerym był, szczerym przed towarzyszką swą i przed samym sobą, aż do najostateczniejszych głębin myśli i uczucia. Dobra wiara jego skazoną nie była najmniejszym cieniem udawania, lub choćby wewnętrznej i mimowolnej niejako obłudy. Szczerość też ta rozpalala mu źrenice ogniem namiętym, brwi ściagała w zmarszczki groźne i ponure, albo w uśmiechu i dźwiękach głosu odbijała się słodyczą czarownych nadziei. Wtedy Lusia na czole jego spostrzegała piętno geniuszu i niezwyklej przeznaczeń, w mowie słyszała potęgę wiary mocnej i pragnień namiętnych, patrzyła mu w twarz z podziwem, słuchała go cheiwie i, korna, wdzięczna, zachwycona, chłoneła w siebie wszystko, czem poił ją i karmił, pożądała najdoskonalszego zjednoczenia się z nim w wierze, wiedzy i dążeniach. Zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa swego, czuła ona potrzebę skrzydeł dla myśli swych i uczuć. Niegdyś, w izdebce dziadka szwajcara, skrzydła te wyrastać jej zaczęły; lecz, niewzmacniane, zaniedbane, przy zetknięciu się ze szpargałami, czytaniem w kuchence, odpadły. A nie należała do rzędu tych, którzy bez skrzydeł, więc bez wielkiej miło-

ści jakiejs i myśli, żyć i czuć się szczęśliwymi mogą. Teraz miała już to, czego potrzebowanie nurto wało ją do dna głuchem cierpieniem i dolegliwą nudą. Dowiadywała się nakoniec, jakim był świat ten, a jakim być może i powinien? czego trzeba do szczęścia ludzkości? i że zdobywanie szczęścia tego ma być zadaniem i szczęściem jej życia. Naturalnie, dawanie lekcyi, w celu zapewnienia powszedniego bytu dla siebie i starego dziadka, wydawało się jej teraz mroczną jakąś, ciasną, błotnistą niziną. Całą istotę jej coraz potężniej i rozkoszniej rozpie rały wołania: na szczyty! na szczyty! w płomienie ofiarne! w jak najszerszą, swobodną, swobodną przestrzeń!... A gwar i ruch stołeczny, starcia się zdań i sądów w poufalitych, a mądrych i uczonych kołach, a na każdym kroku spotykane tam sposobności nauczania i nawracania, a przez to i uszczęśliwiania kogoś!... Dziewczyzna zasłaniała dłonią oczy olśnione i wołała:

— To raj!

A gdy potem, ze szczytu wzgórza, spojrzeniem ogarniała miasto rodzinne, niby w całun, w bolesne swe losy spowite, odwracała wzrok i szeptała:

— To grób!

Szli obok siebie ścieżką, okrążającą malownicze wzgórze, i podniesionymi głosami rozprawiali o najtrudniejszych przedmiotach myśli i badań ludzkich; stawali nad brzegiem rzeki i błękitnym jej falom rzucali najwspanialsze imiona i najśmielsze hasła ludzkości; na mchach leśnych, lub polnych kamieniach siedząc, a dumnie podnosząc odkryte swe głowy, rozwiązywali najzawikłańsze zagadnienia, godzili najjaskraw-

sze sprzeczności, formułowali sądy i wyroki, nad których bezwzględnością zadumałby się długo najbardziej fanatyczny z dotychczasowych poprawia-czy świata. Zgładzili oni przedewszystkiem wszelkie a wszelkie różnice, zachodzące w losach, mie-niu i dostojenstwie ludzi pojedynczych; potem przy-stąpili do różnic tych, które zachodzą pomiędzy nie ludźmi już, lecz ludami; a drzewa, okryte nieprze-niknioną gęstwiną liści, z których żaden podobnym nie był do drugiego, dowiedziały się z ust ich, że powinien być, a zatem, wskutek ich starań bę-dzie wkrótce, na ziemi jeden dla wszystkich ludów język i obyczaj, jedno zadanie i prawo... I wobec ptaków, ścielących gniazda swe i troskliwie rozta-czających skrzydła nad bezbronnością piskląt, roz-wiązywali raz na zawsze węzeł tenludzkiego żywo-ta, który się zwie rodziną; a patrząc na robaka, który pełzać musi, na kwiat, którego korona wzbić się nie może nad wzrost swej łodygi i na drobne owady, które spójnym słupem unoszą się w powie-trze, mówili o niczem nieograniczonej, żadnem pra-wem i żadną spójnością nie krępowanej swobodzie człowieka...

Do wiatrów, lecących nad rodzinnymi ich po-lami, wołali w uniesieniu bez granic:

— Niema Greka, ani Żyda!

Przypatrując się tłustym, rumianym wieśniacz-kom, które z głośniami śmiechy, uderzając wzajem w plecy silnymi pięściami, wiązały zboże w snopy, wzdychali żałośnie, potem wydawali tryumfalne okrzyki:

— Nie będzie pracy ciężkiej, cierpienia i znoju!

Innym razem, wiotka, blada dziewczyna, srebr-nym głosikiem swym budziła sąsiednie echa, wo-lając:

— Niema mężczyzny, ani kobiety!

Z przechadzek tych, Lusja wracała rozpromie-niona, różowa, z żywością ruchów, nigdy przedtem u niej niewidywaną. Czasem bez przyczyny ręce jej drżały i gwałtowne rumieńce tryskały na twarz. Wyglądała tak zupełnie, jak wyglądają zazwyczaj dziewczyny zakochane. W całym też szczipłem ko-le jej znajomych szeptano, że zakochaną była w przy-stojnym tym chłopcu, który codziennie wyprowa-dzał ją na długie zamiejskie przechadzki. Ona je-dnak nie słyszała tego i gdy był nieobecnym, my-śląc o nim, widziała pod powiekami obraz jego, spowity w olśniewającą jasność i zawieszony pod samem gdzieś słońcem. Głośno i w myśli swej na-zywała go: mistrzem. Czasem, gdy była samotną, siadywała długo z zamkniętymi oczyma i w tył od-rzuconą głową. Na tle żółtej ściany, albo pstrego okrycia kanapy, blada jej twarz zarysowywała się w liniach rozwiewnej niemal delikatności i nieskoń-czonej słodyczy. Ciemne rzęsy jej rzucały na prze-zroczyste policzki długie zadumane cienie, a drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Wi-dywała wtedy rzeczy czarowne. Długim szeregiem ciągnęły podówczas ku niej i otaczały ją postacie wspaniałe, w szatach z kryształu i srebra, z ko-ronami z dyamentów, lub płomiennymi zwojami u skroni.

Zkąd przybywały one?

Kędyś, kędyś, za gorzkim morzem, za gę-

stym lasem, za grubym wałem chmur, za rześistym deszczem strzał, waży się na skrzydłach z błyskawic szereg ogromnych idei ludzkości. Aby dojść do nich i skrzydła ich choćby o jeden cal ku ziemi przybliżyć, trzeba rozbić chmury niewiedzy, zrąbać las przeszkód, wypić morze zwątpień, wziąć w siebie strzały bólów. Tu i owdzie znajdują się dość silni, dość mężni i dość wytrwali, aby to czynić, i są to dobroczyńcy ludzkości. Lecz ku rozmarzonej dziewczynie tej, zarówno jak ku zuchwałemu jej towarzyszowi, dolatywały tylko błyski wążących się w oddali idei, a w błyskach tych widzieli oni odbite ich widma. Linie widm były mętne, porwane, lecz dlatego właśnie nie było w nich nic twardego, ani ostrego. Były one rozwiewne i lekkie, i dlatego wydawały się do ujęcia łatwemi; a taka była z nich jasność, że znikwały w niej wszystkie skazy ich i próżnie.

Z extatycznej zadumy budził najczęściej Lusie głos Julka. Wtedy zwracała się ona ku niemu, i rozmowę z nim, do której skorą zawsze była, zaczynała od słów:

— Julku, my, ludzie trzeźwi...

On zwykł był mawiać o niej i o sobie:

— My, realiści...

Tak przeżyli parę miesięcy letnich, a w miarę jak zbliżał się dzień odjazdu Julka, Lusia stała się coraz posępniejszą i w głębi duszy niemal zrozpaczoną.

— Pojedziesz—mówiła—i będziesz tam beznadziejnie działał i cierpieć!...

— Będę w całej pełni używał życia!

W jej dykcyonarze nie było wyrazu: użycie. Jedyne to był wyraz, który z ust jego do jej myśli nie przeszedł. Natomiast mawiała często o cierpieniu.

— Pragnę cierpieć — powtarzała coraz częściej — byleby za ideę naszą, byleby z tobą i ze wszystkimi nowymi ludźmi!

— Cierpieć! pocóż cierpieć? Cierpienie nie powinno całkiem istnieć na ziemi, ani dla mnie, ani dla nikogo...

— Jednak—w zamyśleniu szeptała Lusie—ja czuję, że cierpienie może być szczęściem, że poświęcić się choćby na męki za coś drogiego i wielkiego byłoby rozkoszą większą, niż używać bogactw i sławy...

Julek odpowiedział:

— Mówisz tak, bo nie znasz ani bogactwa, ani sławy... ja widziałem je z bliska i wiem, że bez nadziei przynajmniej ich użycia żyć nie warto.

Wstrząsała przecząco głową. Były to jedyne ich sprzeczki.

Raz patrzył na nią długo rozplomienionemi oczyma, aż nagle, z gniewnym wybuchem głosu, zapytał:

— Cóż? czy doprawdy zostać myślisz w tej ciemnicy i zgnić w niej sobie powoli?

Pomimo usiłowań powstrzymania łez, wybuchnęła płaczem.

— E!—zawołał—nudna jesteś! na nic więcej zdobyć się nie możesz, tylko na babskie szloch. Ja łez nie cierpię, bo sprawiają mi przykrość! Czynu trzeba, moja droga, woli, energii, czynu!...

Struchlała, czując, że był z niej niezadowolonym, otarła szybko oczy i, splatając dłonie, prosić go zaczęła, aby nauczył ją być energiczną i mężną.

— Jedyne sposoby—mówił—nie dbać o nic... słyszysz? zupełnie o nie! o zdanie, ani o uczucia nieczyje, o formy, ani o zwyczaje; lecz robić tak, aby posiadać jaknajwiększą sumę zadowolenia...

— A inni?—szepnęła nieśmiało.

— Tym tylko sposobem zrobić można coś i dla innych, to jest: wyzwoliwszy się—wyzwalać.

Były to jednak dotąd abstrakcje tylko i teorie. Nadszedł dzień praktyki i czynu. Oddawna już Julek wracał z miasta do domu, rozdrażniony i gniewny. Skarżył się przed Lusią, że w rodzinnym mieście jego nikt prawie nie rozumie go i pojęć jego nie dzieli; że, co większa, ludzie obchodzą się z nim coraz zimniej, a czasem nawet i niegrzecznie. Marszczył brwi i ścisnął pięści, albo społeczeństwo, które jego i pojęć jego ocenić nie umiało, nazywał wgardliwie strupieszalem i bezrozumem.

W głębi duszy uszczęśliwiał go to, że czuł się wyższym i mędrszym nad ludzi, na których się uskarżał; swoją drogą przecież brak uznania dla osoby jego i zaprzeczenie ideom, które głosił, wzbudzały w nim gniew i chęć drażnienia tych, którymi gardził.

— Kiedy widzę—mówił—że oburzam ich i zasmucam, mam szaloną przyjemność rzucać im w oczy szpilki i żuźle... Kołuję ich one i palę, ale przecież i rany nie leczą się inaczej, tylko przez cięcia i wypalanie...

Dnia pewnego uczucia te wzmogły się w nim

szczególnie. Powiedział Lusi, że dowiedział się o głupich plotkach, krążących po mieście o nim i o niej; zżymał się, rzucał, potem wyszedł i wrócił do domu późno, gdy wszyscy już spali, z zawinięciem jakimś pod ramieniem.

Nazajutrz, w parę godzin po południu, kiedy Lusja, w małej bawialni siedząc, daleko więcej zajęta była myślami swemi, niż robotą, którą trzymała w rękę, Julek wyszedł z rodzicielskiej sypialni i stanął przed nią w dziwnym ubraniu.

— Dziwiłaś się pewno—rzekł—że stroję się dziś tak długo; ale za to zobacz, jak się ubrałem!

Istotnie, z trochę zdziwienia w oczach, patrzała ona na krwisto czerwoną bluzę jego, opasaną szerokim rzemiennym pasem, na długie, aż do kolan sięgające, obuwie, okrągłą czapeczkę z kilku powiewami piórami, którą włożył na głowę. Zaśmiała się z razu.

— Ach!—zawołała—czy będziesz lody po mieście roznosił?

Zachmurzył się i wzajem zapytał:

— Czy myślisz, że celem moim jest zabawa? nie rozumiałaś, co chcę czynić?

Owszem, rozumiała teraz i bystro spojrzała mu w oczy.

— Braterstwo ludów... — wymówiła z wielką powagą.

— Tak!—odpowiedział z namaszczeniem niedłgie — z manifestuję przekonania moje jawnie i śmiało... Precz z przesądami!

Wraz z ostatnim okrzykiem wykręcił się na

pięcie, i w kilku hołubcach przebiegł pokoik. Spoważniał jednak wkrótce i stanął przed Lusią.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytał głosem, w którym brzmiał nieledwie rozkaz.

Nie wahala się ani chwili. Oczy jej błysnęły. Wstała.

— Pójdę — odpowiedziała zwolna i spokojnie—ja też pokażę, że kobieta wolną jest w wyborze przekonań swoich, a dość silną być może, aby otwarcie, przeciw wszystkiemu i wszystkiemu, przekonania te objawiać!

— Brawo!—zawołał Julek. — Nie straciłem tu daremnie czasu! Zdobyłem dla idei naszych dzielną adeptkę!

Prędko, prędko wyjęła z warkocza podtrzymujące go szpilki, aż jedwabisty, gruby i nieco splątany, spłynął jej na plecy. Pochwyciła potem mały, męski prawie, kapelusik, i włożyła go w ten sposób, iż osłaniał tylko tył jej głowy, na śmiałe czoło najlżejszego nie rzucając cienia. Przejrzała się w małym lusterku i zawołała:

— Teraz jestem więcej do mężczyzny podobna!

Zaśmieli się oboje, swawolnie, dziecinnie niemal...

Manifestowanie idei w ubraniach niezwykłych było dla nich zabawą, o tyle przynajmniej, o ile wydawało się misją. Wyszli. Ludzie oglądali się za nimi daleko więcej jeszcze, niż zwykle, a na wszystkich twarzach zjawiał się na ich widok wyraz niesmaku, lub gniewu. Ktoś, mijając ich z bliska, wzruszył gwałtownie ramionami; ktoś inny, zatapiając

w oczach Julka długie spojrzenie, parsknął głośnym, gorzkim śmiechem. Julka oznaki te publicznej niechęci bawiły i czyniły dumnym.

— Głupcy! — mówił przez zęby, i nastrojał twarz do najgroźniejszego, to znowu do pogardliwego wyrazu.

Lusia zbladła zrazu, odrętwiała i ciężko opuszczała się na ramię towarzysza.

— Co ci to?—zapytał—lękasz się?

— O nie!—zawołała prędko, i nad wszystko w świetle lękając się najbardziej poniżenia się w jego oczach, stapać zaczęła równo i śmiało na ludzi oczy podnosić. Na rogu jednej z ulic, młody człowiek zapalił papierosa i otwartą cygarnicę podał Lusi. Cofnęła się zrazu instynktowym ruchem; ale, spotkawszy się z jego rozognionym spojrzeniem, zrobiła, czego żądał. Co większa, jakby pragnąc obmyć winę chwilowej słabości swej, podniosła wysoko głowę, z drobnych ust wyrzuciła w górę grubą kłębiastą dymu i wyzywającym spojrzeniem potoczyła dookoła. Przytem, bądź z wysilenia, którego dokonywała, bądź z radości, którą nappełniła ją własna jej odwaga, zarumieniła się szkarłatnie, a z tym rumieńcem i z szybko dyszącą piersią szła dalej. U początku jednak ulicy, przy której znajdował się hotel Wszech Krajów, targnęła silnie ramię towarzysza, szepecąc:

— Nie tędy, Julku!... tylko nie tędy!

— Dlaczego?—zapytał tonem krótkim i ostrym.

— Dziadek...—odszepnęła.

— Aha!—zaśmiał się—lękasz się dziadka! pocóż szłaś? nie trzeba udawać odwagi, gdy się jej

nie ma, ani miłości dla idei, gdy się dla niej nie zrobić, ani przenieść nie chce...

Słowa te tak ją ubodły, że aż jęknęła zeicha.

— Mylisz się! — odrzekła — nie lękam się niczego; tylko nie chcę sprawić przykrości temu, który...

Julek przerwał z uniesieniem.

— Wszelkie indywidualne przykrości i boleści iść powinny na bok wobec celów ogólnych. Wiesz o tem dobrze, ale tylko kobiecie serce twoje sprostać nie może zasadzie...

— Kobiecie serce!...—zawołała Lusja.—O Julku! — Zaciśnęła zęby, bo myśl, że dziadek zobaczy ją w tej chwili, klóła ją w serce—i szła dalej.

Przed wspaniałymi drzwiami hotelu Wszech-Krajów stał powóz opakowany, z którego wysiadali przybyli goście. Otocki otwierał drzwiczki powozu, wyjmował z niego pakunki i ze zwykłą sobie poważną uprzejmością odpowiadał na liczne pytania przybyłych. Nagle wyprostował się, jak struna, zbladł bardzo, a wyrazy zawisły niedomówione na ustach jego, które otworzyły się jakby dla wydania strasznego krzyku. Wzrokiem, sypiącym stalowe błyskawice, ścigał on młodą parę, idącą przeciwnym chodnikiem; powiódł dłonią po oczach, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał i uczynił ruch, zdradzający popęd do rzucenia się za odchodzącymi. Nie rzucił się jednak, pod wpływem może naglej rozważy, że gonitwą swą bardziej jeszcze zwróci na nich uwagę, przed którą właśnie aby móżdż ich osłonić, z radością dałby duszę swą na wiekiście męki...

Wrócił więc do oszklonej izdebki swej, blady, jak ściana, niemy, z bezwładnymi rękoma i ciężko wlokącą się chorą swą nogą. Runął na stół i twarz ukrył w dłoniach. Lecz długa bezwładność i bierność nie leżały w charakterze jego. Zerwał się wkrótce i, przebiegłszy się, znalazł się w pokoju pana Leonida Igorowicza, który, stojąc w tej chwili w oknie, pogwizdywał wesoło i palcem, zdołnym w turkusowy pierścione, wybijał takt na szybie.

— Panie!—zaczął Otocki zdyszczanym głosem—potrzebuję wydalić się z hotelu na parę godzin... może na resztę dnia!

Pan Leonid Igorowicz zwrócił się ku niemu i, nie dając mu bezpośredniej odpowiedzi, ze śmiechem zawołał:

— Ależ, słowo honoru, ta wnuczka pańska wyrosła na śliczną dziewczynę. Co za włosy, jakie oczy!...

— Panie!—powtórzył Otocki—potrzebuję wydalić się hotelu na godzin...

Zagłuszył go śmiech pana Leonida Igorowicza.

— I rozumna!—mówił.—Nie taka, jak te nasze dziewczyny, które dla różnych głupstw tracą życie—ot, nie wiedzieć na czem! Ona potrafi użyć życia, oho, taka młoda, a już w niej znać tęgą sobie kobietkę...

— Panie—zaczął znowu Otocki, a ręka jego, drżąc, posuwała się ku kłapie surduta pana Leonida Igorowicza—potrzebuję wydalić się z hotelu...

Pan Leonid Igorowicz był z natury niezłym

chłopcem i spostrzegł nakoniec bolesne wzruszenie szwajcara.

— Dobrze, dobrze—rzekł—idź pan sobie. Jakób pana zastąpi... Ale czego taki zmartwiony? Czy dlatego, że ona tak sobie szła z papierosem w gębie, taka czerwona i z tym kawalerem tak ubranym? Daj pan pokój! To wszystko, co pan myślisz, jest głupstwem. Człowiek z edukacją takich rzeczy za złe nie bierze, bo on wie, że główna rzecz użyć sobie życia, a reszta, to tylko zabobony...

Przestał mówić, bo Otockiego nie było już w pokoju. Patrzył przez okno za odchodzącym szwajcarem, a rękę z turkusem, topiąc w rzęście ufryzowanych włosów, zawołał:

— Waryat!

Tymczasem młoda para szła dalej przez miasto, coraz więcej i widoczniej dumna sprawianem przez się wrażeniem. Upajali się rolą tą, którą odgrywali wobec jasnego dnia i tysięcy oczu ludzkich, a upojenie to odbijało się coraz wydatniej w ruchach ich i wyrazie twarzy. Na jednej z ulic spotkali się oko w oko ze strojnem i wesołem towarzystwem, pośród którego były dwie młode kobiety, zblizka znane Lusi. Obrzuciły ją one od stóp do głowy wzgardliwem spojrzeniem, wzgardliwy też uśmiech przeleciał po ich ustach, nie powitały jej najłżejszem skinieniem głowy i przeszły. Ona stanęła na miejscu, jak wryta i, odwracając twarz — rzuciła za odchodzącymi głośną i pogardliwą też gamą śmiechu.

— Brawo, Lusi! brawo!—zawołał Julek.

Nie spostrzegł, że, gdy z piersi jej lał się po-

tok śmiechu, oczy miała pełne łez. Cierpiała bardzo, lecz zarazem czuła się tak dumną, iż zdawało się jej chwilami, że tuż, tuż uniesie się nad ziemię. Szczęście to i tę dumę uczuła silniej jeszcze na widok biegnącej naprzeciw nim młodej dziewczyny, w skromnem bardzo ubraniu, z zawiniątkiem jakimś w rękę, którą też знаła, a która spostrzegłszy ją, spuściła oczy i z wyrazem twarzy, pełnym zmieszania, zbiegła jej wcześniej z drogi na przeciwną stronę ulicy. Widocznie nie chciała ani witać się z nią, ani też okazywać jawnie, że powitania unika. Luscia powiodła za nią okiem, uśmiechając się litośnie.

— Tamte—rzekła—tamte... dwie, to kokietki, próżniaczki, strojnisie... a ta, biedna gaska, której się zdaje, że czyni wszystko, co człowiek czynić powinien, gdy od rana do nocy pracuje ciężko nad książką i igłą, dlatego tylko, aby brat i siostra nauczyć się mogli kilku żyjących i umarłych języków... Jak niewolnica zaprzęga się do pług i nie rozumie tych, którzy takich wązkich zagonków orać nie chcą i nie umieją. Tamtych... nienawidzę! nad tą lituję się!

Stan jej był tak podnieconym, że ciągle prawie mówiła, a wyrazy płynęły z jej ust ze szczególną łatwością i jakby same przez się układały się w dźwięczne, dobitne frazesy. Po godzinie przebywali mniej już ludne, wiejskie prawie, ulice miasta, aż nakoniec zostawili je za sobą i znaleźli się pośród wzgórzystych, gajami i borami poprzeryzanych pól. Tu Luscia stanęła, zatrzymała towarzysza swego i rozejrzała się dokoła. Po raz pierwszy uczu

ła ona z rozkoszą, jak rozognioną twarz jej chłodziły świeże, szerokie powiewy, a pierś jej, szarpana mieszanymi uczuciami męki i radości, upokorzenia i dumy, głębokiem odetchnięciem wciągnęła w siebie falę przesiąkniętego wonią powietrza. Wysunęła ramię swe z pod ramienia Julka i wbiegła na szczyt zielonego wzgórza. On pobiegł za nią.

— Jak tu pięknie! — mówiła, rozglądając się dokoła — czy czujesz, jak tu dobrze i łatwo oddychać? Czy widzisz, jak sosny te silnie się odbijają na kryształowo-błękitnem tle powietrza? Jakie chmury tam... na zachodzie... niby ponure zamki z krwawymi ścianami, albo góry, u szczytów obręzione złotem! Co tu ptaków! i jak one wesoło świergocą! Czy pomiędzy nimi niema nierówności i niesprawiedliwości do poprawiania, ani głupstw i przesądów, z którymi walczyć każdy powinien! O, mój Julku, jaki ten świat piękny! dlaczegoż na nim droga do prawdy taka trudna? Jak błogo jest oddychać i żyć na łonie natury, której poprawiać i z którą walczyć nie trzeba!

On, zwykłym sobie, pedantycznym nieco tonem zaczął:

— Mylisz się! naturę także zwalczać i poprawiać należy i nie tylko tę zewnętrzną, która istnieje w skłonnościach i pojęciach, wlanych w nas przez ciemne wieki... Prawo dziedziczenia, to wielkie i zdumiewające zjawisko przyrody, wyjaśnia nam...

Nie skończył, urwał nagle, a nawet, gdy mówił jeszcze, znać było, że myślał o czem innem. Pa-

trzył na Lusię nie tylko uparcie, ale nawet z wytężeniem takim, że zdawało się, iż niepodobna mu było wzroku od niej oderwać. Dziewczyna zdjęła małego kapelusik swój, jakby on nawet ciążył jej w tej chwili, a głowa, okryta bogactwem włosów, kąpała się cała w złotej lunie zachodzącego słońca. Oczy jej, zatopione w kryształowej wilgoci, świeciły jak brylanty, drobne usta drżały pośród rozrzmienionych lic, a kształty kibici, objęte wąską czarną suknią, uwydatniały się na przezroczystem tle powietrza, szczupłe, lecz gibkie, drobne, lecz drgające całe wezbrana energią młodzieńczych sił.

— Lusi! — wymówił Julek i urwał znowu.

Nigdy jeszcze w ten sposób nie wymówił jej imienia, nigdy nie słyszała, aby głos jego był tak przytłumionym i miękkim.

— Lusi! — powtórzył, i choć stał tuż obok niej, zbliżył się bardziej jeszcze.

— Co, Julku? — zapytała z pieśczętą w głosie.

Postawa jego, butna zazwyczaj i zuchwała prawie, stała się nieśmiałą i niezręczną: wahanie się, niemal lękliwość, brzmiała mu w głosie, gdy wzięwszy ją za rękę i głęboko patrząc jej w oczy, zaczął znowu:

— Lusi! wiesz? ty jesteś nie tylko energiczną i rozumną dziewczyną, ale też — bardzo ładną. Pragnąłbym porwać cię... unieść gdzieś daleko i być z tobą w jakiejś samotności odludnej... w jakiejś ciszy nie zmaćconej...

Przerwała mu nagle wysunięciem ręki z jego dłoni i wykrzykiem:

— Nie, Julku! nie! nie!

— Co nie? co nie?—pytał z cicha i namiętnie, usiłując ramieniem kibić jej otoczyć. Lecz ona cofnęła się w tył, gibka i sprężysta, a stając o parę kroków i, nie podnosząc na niego oczu, szepnęła jeszcze:

— Nie, nie, nie Julku!

Widać było, że ona, tak śmiała tam... pośród wzgardliwych uśmiechów i niechętnych spojrzeń, wależyła teraz z nieśmiałością i zawstyżeniem dziewczem. On także stał nieruchomy, nieśmiały i tylko z pod brwi, ukradkiem, pożerał ją spojrzeniem...

Wzmogła się nakoniec w odwagę i stanowczość, a prostując drobną swą kibić, z pałającym licem, mówić zaczęła:

— Nie, Julku! ja nie chcę, żebyś ty się kochał we mnie i o tem mi mówił. My, realiści, powinniśmy rzeczy po imieniu nazywać! My, ludzie trzeźwi, powinniśmy jasno patrzeć na uczucia nasze. Otóż, choć mi to przykro... mówię otwarcie, że zrozumiałam, o czułeś w tej chwili... i nie chcę, nie chcę, nie chcę... aby ludzie, którzy nas posądzają i spotwarzają, mieli słuszość, abyśmy sami nie byli pewni, że zdobywamy swobodę i walczymy z przesadami nie dla siebie!...

Entuzjazm jej, podbudzany, kto wie, jakimi tłumionymi porywami, wzbił się teraz do szczytu swego. Wyciągając ku niemu ręce, jak do modlitwy splecione, zawołała:

— Julku! przerzecz mi, że nigdy nie będziesz do mnie mówił i nie będziesz na mnie patrzył tak...

i cierpień, gdy boso i w siermięgach pracowali z poniżonymi braćmi, służyły im, otwierały oczy ich na prawdę... Wyrzekły się one dla idei wszystkiego—prócz miłości. [Z niemi razem byli i poświęcali się ci, z którymi bez żadnych sankcyj świata połączyły się one węzłem wolnej i nieprzymuszonej miłości, na mocy tego wielkiego prawa natury, które zwie się: powinowactwem z wyboru.]

— Śliczne życie! — szepnęła Lusia.

— A któż ci zabrania żyć tak samo?— odpowiedział jej surowo i niemal gniewnie.

I dodał:

— Nie dość jest chcieć i marzyć! Trzeba czynić i umieć spełnić marzenia własne.

Zamienimając słowa te, wstępowali na schody żółtej kamienicy.

W małej bawialni, na odgłos otwierających się drzwi, z nad stołu, przy którym siedział, podniósł się stary, wysoki człowiek, z twarzą bladą i groźną. Na widok jego, Lusia instynktowo cofnęła się z razu, lecz wnet, jakby zawstydzona własnym tym ruchem, śmiało, z podniesioną głową, weszła do bawialni. W tejże chwili pani Aniela, ze splakaną i niewzruszającą u niej wzburzoną twarzą, wybiegła do przyległej izdebki, szczelnie i ze stukiem drzwi zamykając. Julek stanął w progu w postawie takiej, jakby gotował się do śpieszenia z obroną młodej dziewczynie. Lecz nie miał przed kim, ani przed czem jej bronić; Otockie zbliżył się do wnuczki i, biorąc obie jej ręce, nie tylko spokojnym, ale nawet zimnym głosem mówić zaczął:

— Nie pytam się ciebie, gdzieś była i co ro-

biłaś przez te długie, śmiertelne godziny, w których ja oczekiwałem tu powrotu twego. Nie mów mi nie; bo jeżeli słowem potwierdzisz mi w żywe oczy to, co czynem mi okazałaś, lękam się, abym nie zapomniał, że jesteś dzieckiem mego biednego syna i że kiedyś byłaś moją najdroższą pociechą i nadzieją...

Lusia zaczęła drzeć i wyrwała rękę z dłoni dziadka.

Przytłumionym już i trochę drżącym głosem mówił dalej:

— Nie mów nie. Nie chcę wiedzieć o niezem, a raczej wiem... Ale ratować cię muszę i dlatego chciałem cię dziś jeszcze zobaczyć, aby ci powiedzieć, że masz wybierać się w drogę. Za dwa dni... końmi, które dla ciebie najmę, z panią Ryżyńską, u której to wyprosiłem, pojedziesz na wieś, tam, gdzie przepędziłaś pierwsze lata swego dzieciństwa...

— Ja! tam! W ten zakąt, ciemny, jak grób? Za nie!—odpowiedziała, z razu z oburzeniem i zdumieniem, potem stanowczo.

Otocki, jakby nie słyszał jej, mówił dalej:

— Za utrzymanie twe płacić będę. Nauczą cię tam gospodarstwa wiejskiego, a wzamian ty uczyć będziesz dzieci twej dawnej opiekunki.

Usunęła się o kroków parę, skrzyżowała ramiona i, z brwią ściągniętą, z posępnym błyskiem oczu, wyrzekła krótko i ostro:

— Ani na guwernantkę, ani na ochmistrzynię stworzoną się nie czuję. Nie pojedę za nie.

Otocki nie był już dalej panem usposobień swych, gwałtownych z natury, a tylko przez miłość dla niej i poszanowanie dla smutnej pamięci jej ojca

na wodzy trzymany. Postąpił do niej krokiem powściągliwym i, przeszywającym wzrokiem w twarz jej patrząc, przez zaciśnięte zęby wymówił:

— Więc na cóż? na cóż stworzoną jesteś? Czy na jedną z tych zgubionych istot, które w hańbie kąpią poczeiwe imię ojców?...

Jęknęła głucho i, wywołane krwawą obrazą, łzy strumieniem popłynęły z jej oczu. Ale teraz i Julek także wystąpił z cienia, a stojąc pomiędzy dwojgiem srodze zwaśnionych ludzi, z gniewem, którego tłumić nie myślał, zawołał:

— Ja nie pozwolę, abyś pan znieważał ją i łzy z jej oczu wywoływał w obecności mojej!

Kiedy Otocki spojrział na młodzieńca tego, którego bluza krwawo barwiła się nawet przy słabym świetle lampki, a w którego rękę połyskiwały przy czapce pawie pióra, wszystka krew buchnęła mu do twarzy. Przez chwilę spodziewać się było można, że pomiędzy dwoma ludźmi tymi zajdzie coś strasznego. We wzroku obudwóch malowała się nienawiść i pogarda. Jednakże, po chwili nieprzytomnego prawie wzruszenia, Otocki opanował się znowu i głosem, który trząsł się i zamierał mu w gardle, rzekł:

— Pana nie znam. Nie wiem, kto jesteś, zkąd przybywasz... to tylko sprawia mi ból niewysłowiony, że dziewczynę tę, noszącą imię moje, pod jednym z tobą dachem zostawić jeszcze muszę. [Cóż robić? nie mam swojego... o! gdybym go miał wprzód!...] ?

Przestał mówić i wlepił w twarz wnuczki wzrok, pełny tak bezgranicznej ponurej boleści, że w niej

drgnęło coś, niby wspomnienie lat dziecinnych, niby żal nad tym bezdomnym, a tak bardzo kochającym ją starcem. Zbliżyła się z wolna i łagodniejszym nieco, niż wprzód, głosem, wymówiła:

— Dziadku!

Ale on usunął ją zimnym, rozkazującym gięstem.

— Gotuj się do drogi! Jeżeli dobrowolniejechać nie zechcesz, zawiozę cię przemocą. Długo byłem dla ciebie powolny i słaby. Od dziś znajdziesz we mnie, nie starca niedołężnego, ale surowego sędziego i stróża.

Wziął ze stołu czapkę swą z galonem i, nie spojrzawszy już na nią, wyszedł.

W parę godzin później w mieszkaniu Ryżyńskich cicho było i ciemno i tylko w kuchence, na starym tapezaniu, przy oknie, bez innego światła, nad parę smug księżycowych, wlokących się po brudnej ścianie i podłodze, siedziało dwoje młodych ludzi. Lusią, z czołem opartem na dłoni, płakała cicho, ale głęboko i rzewnie; Julek mówił do niej tym samym głosem surowym i ostrym, jakim przemawiać zwykł, gdy czuł się z niej niezadowolonym i chciał wzmódz jej energią.

— Szkoda mi twoich pięknych oczu na lzy bez użytku. Co z płaczu? Dzieci tylko płaczą i niedołęgi. Ludzie nowi działają.

Podniosła na niego oczy, splotła ręce i zapytała:

— Co ja uczynię?

Wtedy on pochylił się ku niej i gorętszym, bardziej błagalnym głosem, niżby to mistrzowi i bratu w idei przystało, zawołał:

— Razem, razem zemną w świat, droga moja!...

Nie zdziwiła się. Sama może myślała już o tem nieraz. Tylko wyciągnęła rękę, wskazując ją drzwiami. Zrozumiał gięst ten i, odpowiadając na niego, zaczął.

— A! ten, co ztąd wyszedł! Biedny, nieuleczony głupiec! On jeszcze mówi o imieniu swych ojców! bierz z tego miarę umysłu jego i szczerze zapytaj siebie samej, czy zacofańca i despotę takiego kochać możesz i czy dla resztek marnego tego, bezużytecznego życia, poświęcać powinnaś młode swe siły, a przede wszystkim to, co dla świata przez nie zrobić możesz?

Mięczała długo, potem wymówiła z cicha i trochę nieśmiało:

— On wychował mię i był dla mnie taki dobry!

Julek spojrział jej prosto w oczy i zapytał:

— A czy żądałaś tego, aby cię na świat ten sprowadzono?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Że też to tak trudno ludziom jasno patrzeć na rzeczy. Cóż nadto prostszego, że ten, który był ojcem twego ojca, opiekował się tobą i nie dręczył cię bardzo? Każde zwierzę robi to samo względem swych małych. Jest to prawo natury. On spełnił je tak, jak to czynią wszystkie istoty organiczne, i niema tu wcale powodu do żadnych, jak wyrażałaś się dawniej, obowiązków, tembardziej do poświęceń. Zresztą, powiem ci prawdę, że wszelkie poświęcenia dla jednostek są głupstwem, egzaltacją, wynikłą z napełnienia głów ludzkich starymi urojeniami. Co innego ofiara dla świata, dla idei. Co

innego też, gdybyś pokochała kogoś, równego sobie energią, umysłem i dążeniami; bo wówczas, gdybyś nawet i przecierpiała coś dla niego, pomimo to, byłabyś szczęśliwą...

Nie wiadomo, czy w tej chwili podzielała wszystkie zdania jego, lecz przestała płakać i widać było, że ważyła je w myśli. On patrzył na nią nie-spokojny. Nigdy jeszcze nie pragnął tak bardzo przekonać jej i skłonić w kierunku chęci własnych. Po chwili, jakby podrażniony tem, że mu nie-odpowiadała, zapytał:

— A może ci żal jeszcze porzucać rodzinne miejsce swe, ludzi, wśród których żyłaś dotąd i te, jak mówią poeci, nieba ojczyste?... Jeżeli tak jest, słuchaj!...

Tu na oścież otworzył okno, za którem w dole ciągnęła się pusta teraz i cicha ulica, a w górze piętrzyły się dachy starych kamienic, z popekanami ścianami i monotonnymi rzędami ciemnych okien.

— Czy słyszysz! — mówił — jak tu cicho... cicho... cicho...

I, przejmując się sam uroczystością głębokiej istotnie ciszy, dodał:

— Jak w grobie!

— Słuchaj — powtórzył — to grób, w którym nikt żywego nie podnosi głosu. Tu wszystko zdaje się spać z niemymi usty, bez ruchu ni walki, bez dążenia naprzód. Tu nikt nie dąży do niczego więcej, jak do możności spokojnego zasypiania codzień pod jakim kawałkiem dachu i do bezpiecznego spożycia kęsa chleba, za który nieraz oddać musi rozum swój, swobodę i ludzką swą dumę. Dlaczego

tak jest? Mniejsza o to. Stare to dzieje, które nas, nowych ludzi, nie obchodzą wcale i łamanie sobie głowy nad pytaniem tem byłoby daremną stratą sił. Ale tak jest... Miejsce więc tu nie dla nas...

— Nie dla nas! — powtórzył po chwilowem milczeniu i z mniejszem już uniesieniem, ale za to, z czemś naksztalt żalu w głosie, mówił dalej: — Być może, iż, gdyby było inaczej, ja nie myślałbym o bezpowrotnym odjeździe i tobie bym nie mówił, abyś porzuciła grób... dla świata. Mnie wszystko jedno, gdzie żyć i pracować; może bym nawet kiedyś wołał „ojczyste nieba“, niż inne, bo przecież czują tak wszyscy prawie ludzie, musi być więc w tem jakieś prawo natury... Gdyby tu uczono się i dochodzono prawdy, gdyby tu można było jawnie i głośno walczyć o to, co człowiek ma najdroższego dla siebie, gdyby się tu ludzie spierali i łączyli w koła wielkie i do postępu, do prawdy i do szczęścia dążyli... lecz w katakumbie mileżącej i ciemnej ja nie zostanę i tobie zostać nie dam... Czy słyszysz?

Czy słyszała go? Zapewne. Musiała też czuć gorące pocałunki, któremi, schylony, okrywał obie jej ręce; lecz nie mówiła nic i siedziała nieruchomo, jak posąg, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w lekkie obłoki, które w blaskach księżyca srebrzyły się, jak skrzydła dawnych rycerzy i z pod złotych rąbków zdawały się pochylać ku ziemi „odważne i smutne oblicza“. Co tam ujrzała w tym podniebieskim orszaku? Może tym razem stanął tam znowu przed nią obraz bohatera, dla którego było kiedyś dziecięce jej serce; bo tak, jakby tajemniczo

i nieśmiało zwierzała się z czemś oblewającemu twarz jej światłu księżyca, szepnęła:

Jechał Sieniawski odważny i smutny
Na śnieżnym koniu i w błyszczącej zbroi.

— Co mówisz, droga moja, siostró moja w idei?—zapytał Julek.

Za nic nie wyznałaby przed nim tego, co czuła przed chwilą i tego, co, mimowoli i wiedzy swej szepnęła. Gdyby to uczyniła, czułaby się w oczach jego i przed sobą samą także poniżoną strasznie.

W tej samej porze Otocki siedział pochylony nad hotelowymi księgami, lecz cyfr wypisanych na kartach ich nie widział. Za parę dni gwiazda oczu jego zniknąć miała z ciemnego jego nieba. Wolał jednak to, niżeli widzieć ją tu, wystawioną na obmowy i pośmiewisko ludzkie — co większa: na niebezpieczeństwa, wobec myśli o których siwe włosy powstawały mu na głowie. Gniewał się na nią srode, lecz czuł, że nigdy nie kochał jej tak bardzo, tak namiętnie, jak teraz, gdy zuchwałą swą dziecięcą dłonią targnęła najdroższe struny jego serca. Postanawiał nie widzieć jej aż do chwili jej odjazdu, i nie wiedział sam, jak przeżyje dwa te dni, pokłócony z nią, drżąc na myśl, że znajduje się ona jeszcze pod jednym dachem z tym... Nie mógł dokończyć, nie mógł go nazwać żadnem imieniem mowy ludzkiej — wszystkie bowiem wydawały mu się za blade wobec jego krwawo czerwonej bluzy. Nazajutrz czynności swe spełniał bezprzytomnie niemal, tylko ze zwyczaju, machinalnie; lecz, jakąż przejęła

go radość, gdy w przedwieczornej godzinie ujrzał wnuczkę, wchodzącą do jego oszklonej izdebki! Upokorzyła się, pierwsza przybyła, aby zażegnać powstałą pomiędzy nimi burzę! Tęskniła za nim, jak on za nią! Kochała go trochę, nie więc straconem nie było; chwilowy jej szal minął, jego szczęście zmartwychpowstało. Drogie, drogie dziecko!

Nie powiedział tego jednak. Powściągnął dziś radość i rorzewnienie tak, jak wczoraj gniew i przyjął wnuczkę złagodnym, lecz pełnym godności spokojem.

Ubrana skromnie i bez rażących różnic ze zwyczajem powszechnym, zdawało się też, że powróciła dnia tego do dawnej powagi, niemal sztywności ruchów i postawy. Błądą była, a wśród zniemionych jej rysów oczy tylko błyszczały gorączkowym blaskiem. Usiadła na stolku, tuż obok biurka ruchem, z dzieciństwa jeszcze zachowanym, wsunęła ręce w rękawy okrycia i, milcząc, patrzyła w przestrzeń.

— Cóż? Przyszłaś? — drżącym trochę głosem zaczął Otocki i nie wiedział sam, co dalej ma mówić: czy karcieć ją znowu surowem słowem, czy porwać w objęcia i pieścizotami okryć.

— Cóż tam u was słychać—zapytał nakoniec—pani Ryżyńska była wczoraj bardzo zmartwioną; jakże się ma dzisiaj?

— Dzisiaj jest ona bardziej jeszcze zmartwiona, niż wczoraj—odpowiedziała przytłumionym, monotonnym, chłodnym głosem.

— Czemże to?—zapytał Otocki.

— Syn jej odjeżdża.

Jak sprężyną ruszony, Otocki porwał się z krzesła i wnet znowu opadł na nią.

— Odjeżdża? Zupełnie już? Kiedyż?

— Zupełnie, dziś.

Była to dla niego tak wielka, tak wielka radość, że już utaić jej nie mógł. Z jego odjazdem zniką konieczność wysyłania jej na wieś. Mogła pozostać i wszystko będzie, jak dawniej, dobrze i szczęśliwie. Któż wie? Jeżeli powiedzie się jej w zawodzie nauczycielskim, może wkrótce zrzuci on z siebie liberyę hotelu Wszech-Krajów i zamieszka ją razem...

Młoda dziewczyna spostrzegła radość jego i zarumieniła się naprzód gwałtownie, a potem zeszywniała bardziej jeszcze. Daremnie różnymi sposobami starał się wyzwać ją na szczerą, poufłą rozmowę i na tej drodze przygotować sobie możliwość zupełnego z nią pojednania. Milczała, sztywna wciąż i zimna, wymawiając krótkie zaledwie wyrazy, a szkląstem okiem patrząc nie na niego, lecz w przestrzeń. I wtedy dopiero, gdy w sieni rozległ się głos pana Leonida Igorowicza, wołający szwajcara, i gdy Otockiego wstał i zmierzał ku wyjściu, Luscia powstała szybko, pochwyciła go za rękę, którą do ust swych poniosła i gorąco, namiętnie prawie, całować zaczęła. Uszczęśliwiony nad wyraz, schylił się ku niej i zobaczył płynące po twarzy jej łzy. Ogarnęły go wtedy zgryzoty sumienia i, przyciskając ją do swej piersi, zmieszanymi słowami pocieszał, pieścił, niemal przepraszał.

Ale pan Leonid wołał coraz głośniejsze.

— Czy na długo pójdiesz ztąd, dziaduniu? — szepnęła.

Powiedział jej, że nie wie, jak długo zabawi; ale, że jeżeli nie wróci prędko, żeby tu nie siedziała sama jedna, lecz tylko udała się do domu, gdzie on dziś jeszcze przyjdzie, aby choć przez chwilę z nią porozmawiać.

Rzeźki i wesoły, tak, jak dawno już nie był, wbiegł na marmurowe schody. Do kizdębki swej wrócił nie prędko, przeszło w godzinę, bo polecono mu dojrzeć ustawiania nowych mebli na jednym z górnych pięter hotelu, a potem spotkał go na korytarzu pan Leonid Igorowicz i długo mówił mu o tem, jakie to wielkie szczęście dla człowieka, jeżeli otrzyma edukację, jak szczęście to uczuł on wczoraj, będąc przez kuzyna swego wprowadzony na wielki bal publiczny, gdzie tańczył do rana.

— Zrobiłem sobie — dokończył — nowiuteńki frak; no i rękawiczki białe i inne drobiazgi coś tam kosztowały; ale człowiek wiele może dać za to, żeby tylu porządnych ludzi zobaczyć... Był na balu hrabia Henryczek, co z moim kuzynem w takiej przyjaźni żyje... i z takimi ładnymi pannami tańczyć!... ta szczególniejszemu generałówna taka tęga dziewczyna...

Uśmiechając się z tego, co usłyszał, a uśmiech swój pod długim wąsem kryjąc, aby go rzadca hotelu i zarazem własnych jego losów nie dostrzegł, Otockiego usiadł za biurkiem i wydał okrzyk zdziwienia. Na księgach rachunkowych leżał mały liścik, do niego zaadresowany. Poznał w oka mgnieniu,

że adresowała go Lusia. Zdziwił się, ale się nie przeląkł. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna nie śmiała ustnie wynurzyć przed nim swej skruchy i prosić go o przebaczenie, a zatem uczyniła to listownie. Na myśl tę uśmiechnął się rozkosznie.

— Biedne, kochane dziecko! — szepnął i list otworzył.

List był długim, ale Otocki przeczytał kilkanaście tylko następujących wierszy:

„Zdziwisz się, dziaduniu, że piszę do ciebie. Jestem bardzo odważna, a jednak nie mogłam za nic powiedzieć ci tego, co postanowiłam uczynić i co uczynię. Jakkolwiek nie zgadzamy się w przekonaniach i wyobrażeniach naszych, a w ostatnich czasach na żaden sposób nie mogliśmy się zrozumieć; to jednak trudno mi bez żalu pomyśleć o tem, że będziesz bardzo cierpiał. Znieś mężnie cierpienie to, drogi dziadku! Wszak jesteś jednostką, która dla ważnych spraw i wielkich idei poświęcać się powinna. Tym to sprawom i ideom ja składam w ofierze ciebie i siebie. Pracować będę ciężko na byle jaki kawałek chleba i zniosę wszystko; ale muszę do prawdy dążyć, z przesądami walczyć wraz z braćmi i siostrami memi w idei, na szczęście świata pracować. Jeżeli zapytasz mię, dziaduniu, dlaczego czynić tego wszystkiego nie postanowiłam tu, u boku twego, pod rodzinnem niebem i w społeczeństwie rodzinnem; to powiem ci, że niebo to wisi nad ziemią, jak ołowiane wieko trumny, do której zstępować ja nie chcę, a społeczeństwo to wydaje mi się orszakiem istot sennych i płakanych, wśród których nudno mi, smutno... Gdybym tutaj

widziałam możność wstąpienia na wyższy szczebel wiedzy, a potem dobroczynnego dla prawdy i ludzkości działania, być może, iż wolałabym pozostać przy tobie i boleścią twoją serca swego nie rozdzielać. Lecz po cóż bawić się w przypuszczenia? Tak nie jest i być nie może; jadę więc w świat szeroki. Tam jestem potrzebna, jak ptak, z braćmi swymi pod niebo lecący... Dziś, za godzinę, odjeżdżam z Julkiem do stolicę. Czy wrócę tu kiedy...“

Dalej Otocki już nie czytał, litery zmaciły mu się przed oczyma, list wypadł z ręki. Jak oszalała, jakby mu krew bijąca do skroni czaszkę rozsądzić miała, ścisnął głowę i krzyknął:

— Boże mój! Ojcowie moi! Synu mój!

Ale, po krótkiej chwili, zerwał się z siedzenia i trzęsącą się ręką sięgnął po zegarek.

— Biegnę, lecę—szeptał—porwę, odbiorę, wyratuję...

Czy pora jeszcze była biedz i ratować, nie mógł się o tem dowiedzieć, bo wskazówki zegarka wydawały mu się jakimiś krwawymi palcami, przyciskającymi jakąś wysoką, pełną jęków i westchnień, mogiłę.

— Ołowiane wieko trumny!... orszak sennych i płakanych!... O nieszczęśliwa! wieko to podnosić... sennych tych budzić... płakanych cieszyć... małaż to była dla ciebie robota?...

W tem w ucho jego uderzył długi, przenikliwy świst. Wiedział on dobrze, przez lat wiele dowiadywał się codziennie, co świst ten znaczy. Była to ta potężna, choć nieżywa, istota z żelaznem cia-

łem, płomienną piersią i długim białym warkoczem z dymu, która, lecąc pędem niedościgłym w przestrzeń niedojrzalną, świstem tym wołała na tych, co się wprzęgli do jej rydwanu: Za mną! za mną w świat!

Lokomotywa, ciągnąca za sobą długi szereg ciemnych wozów, coraz dalej rzucała w przestrzeń i zmrok wieczorny przeraźliwe swe krzyki, a w izdebce szwajcara hotelu Wszech-Krajów, zgnębiony, zgarbiony, wijący się z bólu człowiek, jęczał:

— Zgubiona!

I daremnie przede drzwiami hotelu turkotały powozy, przywożące gości, daremnie pan Leonid Igorowicz i inni jeszcze wołali na niego wielkimi głosami—nie słyszał nic.

*

*

*

Od dnia tego zniknął z sieni i z przede drzwi hotelu Wszech-Krajów i nikt go już tam nie widział nigdy. Co się z nim stało? Niewiadomo. Czy wraz z innymi błędnymi liśćmi, które po burzy tułają się wśród przestrzeni, szuka jeszcze gałązki przytulku i spokojnego końca? Czy też, porwany falą strumienia, który zabrał mu wszystkie ukochania jego, popłynął za niemi w drogę bezpowrotną?

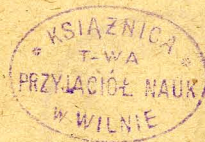
To tylko pewna, że ile razy ktokolwiek zapyta pana Leonida Igorowicza o pięknego człowieka tego z silną i dumną postawą, zoranem czołem i długim białym wąsem, tyle razy pan Leonid Igorowicz

wstrząsa ufryzowanymi włosy, z których ulatuje woń różanego listka, ręką, zdobną w pierścione z turkusem, czyni giest pogardliwy i odpowiada:

— To był waryat!

Powiadają niektórzy — i ja zdanie to podzielam—że pan Leonid Igorowicz nurza się także w srogiem omamieniu, biorąc za edukację, czyli oświatę to, co jest krzywym i brudnem jej widmem.

K O N I E C.





WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1908.

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	kop.
517, 518. Gabriel Sarrazin. WIELCY POETCI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz.—Słowacki.—Krański. Przekład z francuskiego Wacławy Kisiańskiej, z przedmową Jana Lorentowicza	80	50
519. Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI.	40	25
520, 521, 522. Marion. MIRAŻE. Powieść. Wydanie drugie	1.20	75
523. RADCA STANU A. KOLB JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G.	40	25
524. Conan Doyle. CZTEREJ. (The sign of four) Powieść. Tłom, z angielskiego Bronisława Neufeldówna	40	25

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	kop.
525.	MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Błeszyński	40	25
526.	Stanisław Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku	40	25
527, 528, 533.	Juijusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Gruźewskiego	1.20	75
529.	Artur Schnitzler. ŚMIERĆ. Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego	40	25
530.	Alexandrn Suszczyńska. INACZEJ. Nowele	40	25
531.	Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE. II. Prometeusz	40	25
532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545.	Teodor Dośtojewski. BIESY. Tłumaczył T. K.	3.20	2.00
534, 538.	Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ. Przekład J. P.	80	50
540.	Wiktor Gomułicki. OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. Serya II	40	25
542.	Ryszard Jefferies. HISTORIA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z angielskiego A. Z.	40	25
544.	Eliza Orzeszkowa. WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego	40	25

Za pięć rubli na rok.

52 zeszyty wytwornej ilustracji i 12
książek cennej treści

daje w Warszawie tygodnik ilustrowany dla rodzin
polskich

„Ziarno”

ALBUM PIĘKNYCH OBRAZÓW.

Powieści, nowele, wiersze. — Wspomnienia historyczne z portretami i rycinami współczesnymi. — Ilustrowane opisy podróży, odkryć, wynalazków, osobliwości przyrody. — Kronika chwili bieżącej ilustrowana.

PRZEDPŁATA WYNOŚI:

w Warszawie:

Rocznie rb. 5. — Kwartalnie rb. 1.25.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie rb. 6. — Kwartalnie rb. 1.50.

 Bez dopłaty za dodatki książkowe. 

Adres „Ziarna”: Warszawa, Nowy-Świat 70.

Prospekty i numera okazowe wysyła się na żądanie bezpłatnie.

„Goniec Poranny i Wieczorny“.

NAJPOCZYTNIEJSZE PISMO POLSKIE.

Wychodzi dwa razy dziennie przy współpracownictwie wybitnych publicystów i literatów polskich.

GONIEC stoi na straży ideałów narodowych i wyznaje zasady szczerze demokratyczne. Wielka poczytność „Gońca Porannego i Wieczornego“ czyni go najodpowiedniejszym pismem dla wszelkich ogłoszeń.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje główny Kantor, Zgoda 5, oraz nasze filie i kantory.

Cena prenumeraty „Gońca Porannego i Wieczornego“:

w Warszawie: miesięcznie kop. 60; kwartalnie rb. 1.80; rocznie rb. 7.20;

z przesyłką pocztową: miesięcznie kop. 75; kwartalnie rb. 2.25; rocznie rb. 9;

zagranicą: miesięcznie rb. 1.30; kwartalnie rb. 3.90.

Zmiana adresu poczt. kop. 20.

Za odnośnienie miesięcznie 15 kop. Cena egzemplarza „Gońca Porannego i Wieczornego“ w Warszawie 2 kop., na prowincyi 3 kop.

118-130 132
90-95

Przypominamy Sz. Prenumerato-
rom iż czas odnowić prenumera-
tę na III kw. r. b.



Z dniem 8-go Lipca Redakcyja
i Administracyja naszego wydawnic-
twa przeniesioną będzie na ulicę
Sienną Nr. 2, dom Tow. Rossya.





884-3

Orzeszkowa Włod